Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. L. Pasteura Zielona Góra

ISSN 1427-6720

Pionierzy

NR 1(16) 2002 ROK VII
ZIELONA GÓRA
Cena 2 zł

CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

899 III/2002
2002
1-3

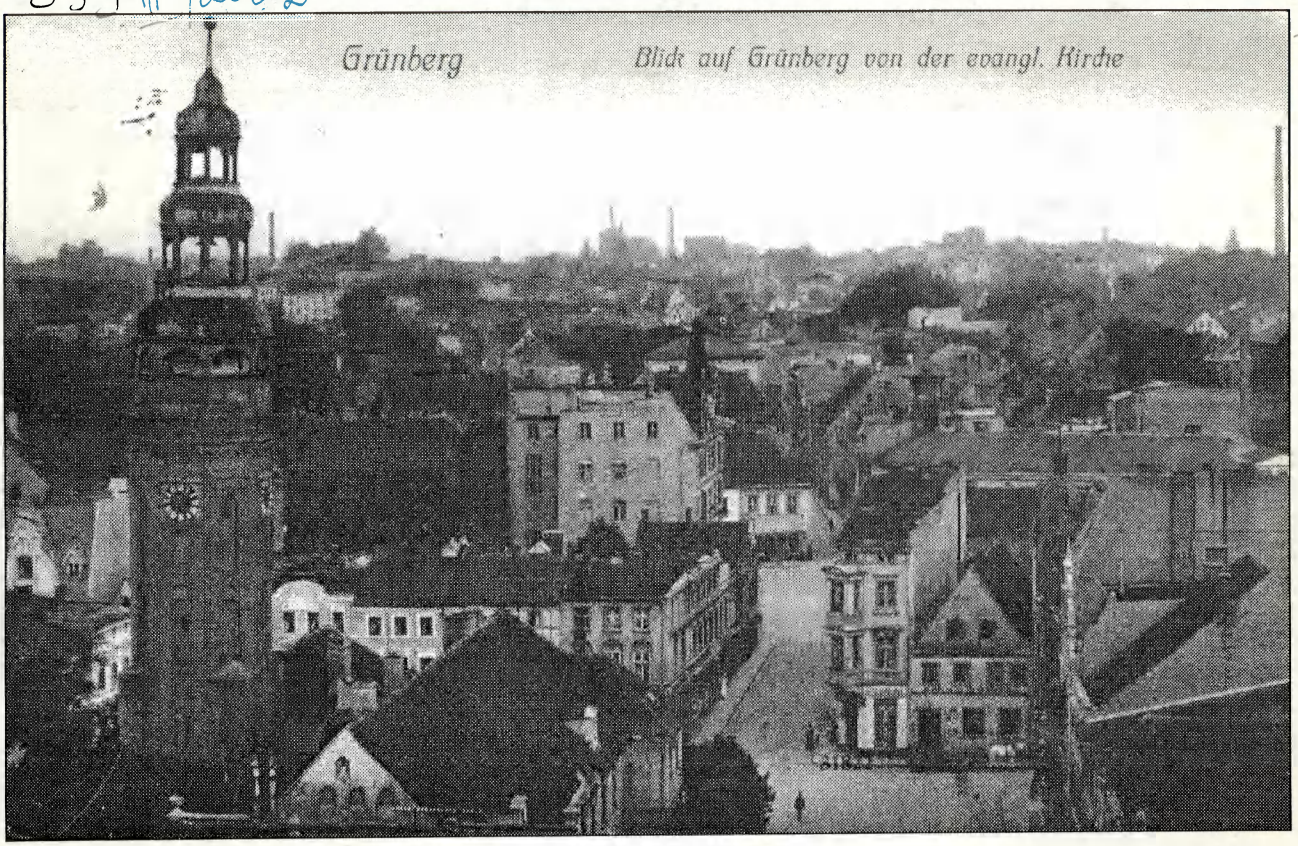

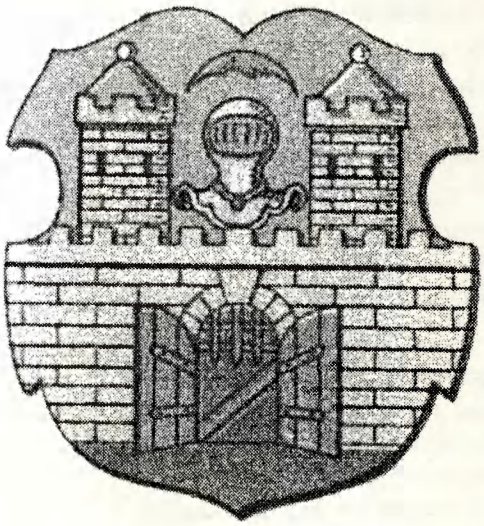

- ☆ *Archeolog o początkach miasta*
- ☆ *Z Grünberg do Zielonej Góry*
- ☆ *Pastor pionier*
- ☆ *Symbole samorządu*

Piosenka Zielonogórska

Za mostem w rzekę wsłuchanym
Złoci się miasto na wzgórzach
Oddycha wiosną – gościnne drzewami
Zielone domy, ulice zielone, ciche podwórza

Skrzypce grajka melodię niosą deptakiem
Głowy się chwyta każda nutka
Od Kupieckiej aż po Ratusz
W wiosennym graniu jestem wolnym ptakiem

Tu tempo życiu wystukują dzwony
Kościelne wieże krzyczą, że żyją
Na ławkach, w parkach siedzą młodzi
Zielony on, w zieleni ona

I tak wtulone w zieleń całe miasto
Pamięć i sprawy zielenią się mienią
Taki to styl, taki szyk
Uniwersyteckiego zielonego miasta

Ks. Zygmunt Kowalczuk

Pionierzy
CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

Wydawca:
Sekcja Historyczna Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry,
ul. Stary Rynek 1,
Ratusz – Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra.

Redakcja:
Redaguje Kolegium w składzie:
Maria Gołębiowska
Tomasz Nodzyński
Wiesław Nodzyński
Wojciech Strzyżewski
Robert Skobelski

Adres Redakcji:
ul. Stary Rynek 1,
Ratusz – Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra

Korekta:
Ewa Przygoda

Druk:
Drukarnia „EURODRUK"
Zielona Góra

Pocztówki wykorzystane w aktualnym numerze pochodzą ze zbiorów specjalnych Biblioteki SNHiS Uniwersytetu Zielonogórskiego

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca.
W materiałach nadesłanych redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian redakcyjnych.
Za treść reklam redakcja nie odpowiada.

Od Redakcji

Prezentowany, szesnasty numer „Pionierów", otwiera już siódmy rok działalności pisma. Mamy nadzieję, że różnorodność przedstawionych materiałów zachęci do lektury potencjalnych czytelników oraz sprawi, iż każdy znajdzie dla siebie coś interesującego.

Numer rozpoczyna tekst **Tomasza Nowińskiego**, który z punktu widzenia zawodowego archeologa opowiada o najwcześniejszych dziejach Zielonej Góry, rzucając jednocześnie nowe światło na początki miasta.

W inny zgoła klimat wprowadza przepojona sentymentem opowieść **Gudrun Lintzel**, mieszkanki przedwojennej Zielonej Góry, wspominającej spędzone w mieście lata dzieciństwa i młodości.

Podobny charakter ma tekst **Antoniny Żulik**, która pracując i mieszkając w Zielonej Górze, obserwowała jej powojenną historię i rozwój.

Ryszard Michalak przypomniał z kolei, że Zielona Góra stanowiła niegdyś lokalne centrum luteranizmu, będąc jednym z nielicznych na Dolnym Śląsku miast gdzie ewangelicy mieli własny kościół i księży. Autor poświęca także wiele uwagi postaci ks. Jana Zajączkowskiego wspominającego niełatwe początki pracy duszpasterskiej w Zielonej Górze po wojnie.

Z drugiej części wywiadu **Małgorzaty Twarowskiej** z **Witoldem Nowickim**, jednym z twórców zielonogórskiego środowiska plastycznego, dowiadujemy się m. in. o działalności społecznej artysty (współzałożyciela Towarzystwa Przyjaciół Zielonej Góry i Lubuskiego Towarzystwa Kultury), jego życiu rodzinnym i ciekawym hobby.

W kolejnych „Rozmyślaniach po północy" **Jan Muszyński** opowiada o początkach swojej drogi zawodowej w Zielonej Górze, przypadających na burzliwy rok 1956.

Jerzy Łatwiński w cyklu „Poznajemy Ojcowiznę" zajmuje się tym razem Doliną Odry, przytaczając interesujące informacje związane z historią położonych na jej terenie miejscowości i oraz walorami turystyczno-krajobrazowymi tego obszaru.

Daniel Koteluk przywołuje dramatyczne wydarzenia roku 1960 w Zielonej Górze, dotyczące odebrania Kościołowi katolickiemu przez ówczesne władze Domu Katolickiego przy placu Powstańców Wielkopolskich.

Ostatni tekst, autorstwa **Wojciech Strzyżewskiego**, omawia dawne i współczesne symbole samorządu Zielonej Góry. Autor skupia się na najstarszych znakach miejskich – pieczęciach, posiadających bogatą i wieloznaczną symbolikę, która dała również początek herbowi miasta.

Robert Skobelski

Tomasz Nowiński

Archeologa słów kilka o początkach Zielonej Góry

Jednym z najciekawszych a równocześnie najbardziej zagadkowym epizodem z dziejów Zielonej Góry jest problem dotyczący założenia miasta. Dotychczas zgodnie podkreślano, że dzisiejsze Stare Miasto powstało na tak zwanym „surowym korzeniu", a więc w miejscu wcześniej niezamieszkanym. Wskazówką ku temu była, przede wszystkim, obserwacja niezwykle regularnego rozplanowania przestrzennego zabudowań i ulic wyznaczonych w obrębie murów obronnych. Średniowieczne miasto miało jednak swego poprzednika w osadzie otwartej, którą – również dość zgodnie – sytuuje się u zbiegu ulic: Kupieckiej, Drzewnej, Podgórnej i Wrocławskiej. W rejonie tym jeszcze w końcu XVI wieku stał drewniany kościół pod wezwaniem św. Jana, uznawany za pierwszą, a przez pewien czas również jedyną świątynię Zielonej Góry (kościół p.w. św. Jadwigi wzniesiono dopiero w początkach XV wieku). Najpewniej była to dość rozległa wieś o charakterze rolniczym, będąca także – z uwagi na położenie na skrzyżowaniu traktów komunikacyjnych – punktem lokalnej wymiany handlowej. Daty powstania tego ośrodka osadniczego nie jesteśmy w stanie ustalić, nie prowadzono bowiem na tym terenie badań wykopaliskowych, a i źródła pisane nie przynoszą na ten temat żadnych informacji.

Powróćmy jednak na teren starówki, a ściślej mówiąc na niewielką ulicę Krawiecką biegnącą od południowo-wschodniego narożnika Starego Rynku w stronę wieży „Łaziebnej". Po południowej stronie uliczki znajdują się dwie, niezabudowane obecnie parcele miejskie, na powierzchni których wiosną i latem 1998 r. miałem okazję do przeprowadzenia badań wykopaliskowych. Ich wyniki przerosły najśmielsze moje oczekiwania. Po pracochłonnym usunięciu gruzu pozostałego z rozbiórki kamienic natrafiłem na bardzo dobrze zachowane pozostałości zabudowy, na którą składały się dwa pomieszczenia piwniczne wraz z korytarzami, wymurowane z kamienia i cegły, nakryte również ceglanymi sklepieniami. Datę wzniesienia ich najstarszych części ustalono na koniec XV lub początek XVI wieku. W ustaleniu takiej właśnie chronologii pomocne okazały się dane historyczne, w których odnotowano przebudowę ulicy związaną z przebiciem w latach 1483-1487 kolejnej bramy, nazwanej „Nową Bramą". W końcu wieku XVIII nastąpiło powiększenie piwnic obu kamienic oraz nakrycie pomieszczeń nowymi sklepieniami ceglanymi. Jednocześnie udało się natrafić na pewne ślady wskazujące na konstrukcję ścian wyższych poziomów obu domostw. Zbudowano je zapewne w tzw. technice szachulcowej, polegającej na zastosowaniu drewnianego szkieletu konstrukcyjnego z bali łączonych pod kątem prostym i wypełnionego warstwami gliny zmieszanej z sieczką.

Na południe od piwnic natrafiono na pozostałości oficyn zabudowujących częściowo podwórze między XVI i XVIII wiekiem oraz na niewielkie podwórze. To właśnie z tej niezabudowanej części parceli pozyskano najbardziej interesujące informacje i najciekawsze zabytki. W jednym z odkrytych obiektów archeologicznych, będącym prawdopodobnie dołem kloacznym, wydobyto serię kafli glinianych, pochodzących najpewniej z jednego pieca rozebranego w początkach XVI wieku. Wśród nich wystąpił późnogotycki kafel o bogatym ornamencie figuralnym umieszczonym na niewielkiej, kwadratowej płycie. Przedstawia on sokolnika siedzącego na koniu, trzymającego w prawej ręce róg myśliwski, a na lewej siedzącego sokoła. Pod koniem umieszczono psa na smyczy, a na zadzie końskim jeszcze jednego ptaka o nieustalonym gatunku. Całość pokryto zielonkawo-oliwkową polewą z żółtawymi plamkami. Podobne kafle występują w niewielu miastach śląskich, między innymi we Wrocławiu oraz kilkunastu zamkach znaczniejszych rodów szlacheckich. Innymi elementami plastyki figuralnej są stosunkowo niewielkie fragmenty figurek glinianych. Jedna z nich, znaleziona w pozostałościach podłogi oficyny jest najprawdopodobniej częścią małej figury związanej z religią chrześcijańską. Jest to wyobrażenie głowy kobiecej nakrytej płaskim czepcem i udrapowaną chustą spływającą na ramiona. Bardzo podobne znaleziska, pochodzące z badań miast i dworów Dolnego Śląska, datowane są zwykle na drugą połowę XV i początki XVI wieku. Drugi z zabytków tego rodzaju ma znacznie starszy rodowód. Również i w tym przypadku zachowała się jedynie głowa, tym razem mężczyzny, skrywana pod obszernym kapturem. Widoczna spod niego twarz

ukształtowana została bardzo prymitywnie poprzez dolepienie niewielkich kawałków gliny. Zabytek ten stanowi unikat w skali kraju; podobnych przedstawień, datowanych na drugą połowę XIII wieku nie znam, a najbliższą do niego analogię stanowi niemal identyczne znalezisko z okolic Drezna.

Chciałbym wspomnieć o jeszcze jednym przedstawieniu figuralnym. W spoinach cegieł zamurowanego przed wiekami otworu drzwiowego wejścia do jednej z piwnic znaleziono kilka fragmentów naczynia szklanego pokrytego dekoracją. Czarną farbą na pobiale wymalowano na nim postać mężczyzny siedzącego na koniu, odzianego w płaszcz, buty i nakrycie głowy charakterystyczne dla drugiej połowy XVII wieku.

W warstwach archeologicznych, jakie przez stulecia odkładały się na powierzchni podwórza, jak i we wnętrzu oficyny, znaleziono spory zestaw monet bitych między XV i XVIII wiekiem. Wśród nich najciekawsze egzemplarze stanowią: srebrna, niewielka moneta (tak zwany brakteat guziczkowy) górnośląskiego miasta Toszek i halerz miasta Ziębice, będące w obiegu w XV wieku, srebrny trzeciak Joachima II Hektora z 1559 r. oraz halerz Władysława II, panującego w latach 1471-1516. Do niezwykle rzadkich znalezisk należy również odkrycie fragmentu okucia wykonanego z cienkiej blaszki z brązu. Zdobią je dwa rzędy drobnych nakłuć i dwukrotnie powtórzony napis „MARIA" wykonany w późnej minuskule gotyckiej. Właśnie wykrój liter pozwala datować zabytek, stanowiący element księgi liturgicznej, na przełom XV i XVI wieku.

Mógłbym długo jeszcze wymieniać różnorodne zabytki, jakich nie poskąpiła ziemia zalegająca na powierzchni obu działek, wykonane ze srebra, brązu, żelaza i stali, szkła, gliny i surowców organicznych (kość, róg, poroże), jednak zainteresowanych muszę odesłać do artykułu, jaki w najbliższym czasie ukaże się w kolejnym tomie „Studiów Zachodnich". Zejdźmy jednak na najniższe poziomy wykopów badawczych, skrywających największą niespodziankę. Nie jest to może znalezisko ciekawe dla oka, ale zupełnie wyjątkowe i niespodziewane.

Wspomniałem na wstępie, że przedlokacyjnym ośrodkiem Zielonej Góry była osada leżąca wokół kościoła św. Jana, a miasto powstało na wolnej, niezamieszkanej przestrzeni. Tymczasem na skraju rynku odkryte zostały ewidentne ślady zasiedlenia tego terenu, znacznie wyprzedzające początek XIV wieku, uznawany powszechnie za czas nadania praw miejskich Zielonej Górze. Najstarsze nawarstwienia, datowane w oparciu o pozyskane fragmenty naczyń ceramicznych, a pochodzące z pierwszej połowy XIII wieku wiązać moż-

Kafel gotycki z XV – pocz. XVI w. – przedstawienie sokolnika

na z osadą rolniczą. Z czasem na jej obszarze powstał niewielki ośrodek produkcji żelaza, którego pozostałością są odnalezione duże fragmenty żużlu, czy nagromadzenie spalenizny, popiołu i węgla drzewnego – ośrodek funkcjonujący również przed powołaniem do życia organizmu miejskiego. Trudno bowiem sobie wyobrazić, by w bezpośrednim sąsiedztwie rynku, w zwartej, drewnianej zabudowie miasta średniowiecznego mogła funkcjonować kuźnica, czy większy warsztat kowalski. Dopiero w nawarstwieniach z pierwszej połowy XIV wieku, oddzielonych od wcześniejszych grubą warstwą piaskowej podsypki, zarysowuje się wyraźny podział na dwie działki z czytelną granicą w postaci drewnianego płotu odtwarzanego co pewien czas aż po wiek XVI.

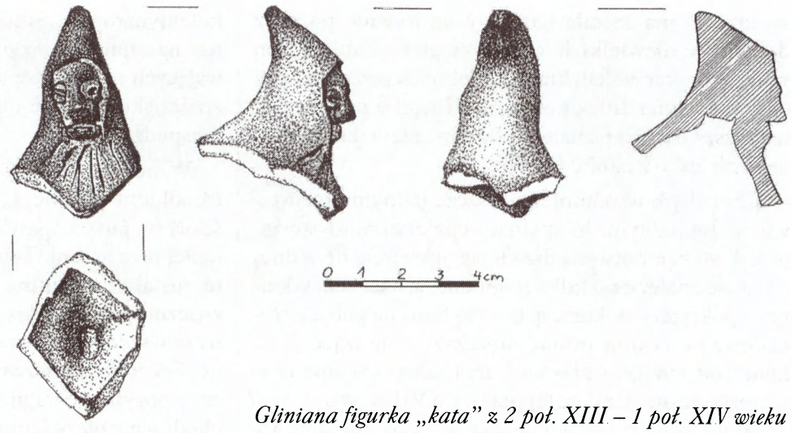

Gliniana figurka „kata" z 2 poł. XIII – 1 poł. XIV wieku

Na zakończenie przytoczę słowa Henryka Muncha z 1946 r.: (...) *należy raz na zawsze rozgraniczyć pojęcia: miasto jako zjawisko topograficzne i miasto w znaczeniu prawnym. Miasto jako zjawisko topograficzne wyprzedza o całe wieki miasto w znaczeniu prawnym, czyli osadę typu miejskiego posiadającego własny samorząd.* (...).

W Zielonej Górze znaleziono jednoznaczne potwierdzenie tych słów.

Tomasz Nowiński – asystent w Zakładzie Archeologii Instytutu Historii Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Kolejna kadencja zielonogórskich Pionierów dobiega końca. 26 kwietnia odbędzie się zebranie sprawozdawczo-wyborcze. Odchodząca kadra pragnie w tym miejscu serdecznie podziękować wszystkim, którzy zawsze byli z nami, którzy pomagali, wspierali, po prostu byli.

Największe podziękowania pragniemy skierować do Pana prezydenta Zygmunta Listowskiego, który w ostatniej kadencji czuwał i trzymał rękę na pulsie, żeby wszystko prawidłowo funkcjonowało. Dzięki Jego wsparciu i czynnej aprobacie mogliście, Drodzy Czytelnicy, czytać nasze pismo – uwieńczenie całej pracy Sekcji Historycznej.

Specjalne podziękowania pragniemy skierować także do władz miasta poprzedniej kadencji. Ogromna pomoc uzyskaliśmy dzięki wsparciu, duchowemu i materialnemu życzliwych osób, na czele których stali poprzedni prezydenci Zielonej Góry, Pan Henryk Masternak oraz Pan Roman Doganowski. Również wiceprezydent, Pan Edward Mincer, do tej pory szczególnie mocno związany z Pionierami, w wielu momentach okazał się niezastąpiony.

Rzeczy nie najważniejsze, ale przecież niezbędne (bezpłatny telefon, sala, pismo, nawet krzesła, pozostałe meble, gabloty, czy wreszcie remont sali), wszystko to dzięki osobom życzliwym bardzo ułatwiło pracę całemu zespołowi.

Szczególne podziękowania kierujemy do Pani Marii Słaby z Urzędu Miejskiego, która od momentu organizacji pracy przy Sali Wspomnień, aż do dnia dzisiejszego, jest naszą duchową matką chrzestną. Jeszcze raz serdeczne podziękowania za okazane Pionierom serce dla władz obecnej i poprzedniej kadencji. Pionierzy nie zapomną. Dziękujemy.

Sięgając pamięcią do 28 sierpnia 1993 roku, był to uroczysty moment otwarcia sali, przypominamy sobie cały miniony okres funkcjonowania stowarzyszenia, pracę i zaangażowanie Pionierów i wiemy na pewno, że bez stowarzyszenia Zielona Góra wiele by straciła. Zatem wszystkim mieszkańcom, Pionierom zrzeszonym i niezrzeszonym, całej Radzie Miasta życzymy dalszej owocnej pracy.

Z okazji zbliżających się Świąt Wielkanocnych pragniemy złożyć życzenia Wesołego Alleluja Panu prezydentowi Zygmuntowi Listowskiemu, Radzie Miasta, wszystkim Pionierom i wszystkim naszym Czytelnikom, smacznego jajka, mokrego dyngusa oraz wielu radosnych chwil.

Redakcja pisma oraz członkowie Sekcji Historycznej

Z Grünberg do Zielonej Góry

Latem 1991 roku, mój wówczas 23-letni syn, wyraził chęć odwiedzenia ojczyzny swoich przodków. Byłam z tego powodu niezmiernie szczęśliwa, tym bardziej, że do tej pory boleśnie odczuwałam fakt, iż pewna część mojego życia pozostaje mu obca.

Tak też, ze Stuttgartu wyruszyliśmy w kierunku Berlina i Frankfurtu nad Odrą. Po minięciu tego ostatniego, droga wiodła przez w ówczesnym czasie słabo zaludnione wioski, co mojemu synowi przypadło szczególnie do gustu i do dziś jeszcze z rozmarzeniem wspomina te idyllicznie położone miejscowości oraz prawie dziewiczy krajobraz.

Im bardziej zbliżaliśmy się do samej Zielonej Góry, tym intensywniej biło moje serce, przecież to właśnie owe okolice opuściłam w grudniu 1945 r. Od tego czasu zmuszeni byliśmy nie oglądać ich już więcej. Przez długi okres były one bardziej nieosiągalne, niż jakiekolwiek inne miasta świata – z powodu żelaznej kurtyny, ale także z powodu przeżyć w piwnicy UB.

Zieloną Górę powitaliśmy na wysokości dawnej *Lessener Straße* (dziś ul. Wojska Polskiego), którą to często jeździłyśmy z matką na przejażdżki rowerowe po tutejszych lasach. Tak więc zaczęłam wypatrywać wszystkiego, co znajome.

W szczególny sposób rodził się we mnie spokój. Drogę do hotelu POLAN, w którym postanowiliśmy nocować, znaleźliśmy bez problemu. Naturalnie nie mieliśmy chwili do stracenia i czym prędzej wyruszyliśmy do miasta – bądź co bądź zostały nam niecałe trzy dni. Z orientacją nie mieliśmy większych trudności i niebawem przez dawną *Bahnhofstrasse* (dziś ul. Niepodległości) dostaliśmy się do centrum i zanim się obejrzeliśmy staliśmy już pod ratuszem.

Deptak był zachwycający, choć przez cały ten czas nie mogłam odpowiedzieć sobie na pytanie, jakim to sposobem radzieckie czołgi w lutym 1945 r. były w stanie przecisnąć się między wąziutkimi szczelinami tutejszych uliczek. One wówczas naprawdę manewrowały dookoła ratusza!

Największą moją nadzieją było odnalezienie domu rodzinnego, co oczywiście nie było już możliwe z tej prostej przyczyny, iż dom ów od dawna nie istnieje. Myślę, że to nawet dobrze, przecież wraz z nim zamilkł również świat mojego dzieciństwa, którą to stratę może właśnie bez jego murów łatwiej jest przeboleć.

Zamierzałam odnaleźć również raj mojego dzieciństwa, mianowicie wielki sad nieżyjącej już ciotki, w którym to właśnie po raz pierwszy zaznałam swobody i nauczyłam się rozkoszować naturą. Szukałam jej domu i ogrodu, z trudem znajdując się pośród zabudowań, które pozostały – nie udało mi się. Dziś wiem, iż po pierwsze, dzieci dysponują inną miarą świata, gdzie wszystko jest większe i bardziej odległe, po drugie, owe pola i ogrody położone w okolicy osiedla Zacisze zniknęły na zawsze.

Odwiedziliśmy też cmentarz, co wywarło duże wrażenie zwłaszcza na moim synu, gdyż jak się okazało poczuł się w jakiś szczególny sposób mocno związany z przodkami naszej rodziny. Wstrząsnął nami jednak fakt, iż w miejscu dawnej kostnicy urządzona została dyskoteka. Na szczęście do chwili, w której piszę te słowa, taki stan rzeczy nie ma już miejsca.

Jestem także zadowolona, iż w parku postawiono tablicę pamiątkową z nazwiskami pochowanych tam osób. Dzięki temu powracam do wspomnień podczas mojego pięcioletniego pobytu w Zielonej Górze.

Dawne państwowe seminarium przedszkolanek i pielęgniarek

Ciekawe, że najbardziej rzuciły mi się w oczy jednak właśnie deptak oraz zaginione sady i plantacje winogron. Niepowtarzalny czar tego „zielonego miasta" niestety przeminął. Osiedla bloków powstałe w duchu socjalizmu są tylko jego kiepską rekompensatą. Mieszkają tu jednak jeszcze i tacy zielonogórzanie, którzy pamiętają owe pięknie kwitnące drzewa przyciągające uwagę odwiedzających te strony. I ci również tęsknią za nimi.

Czego się szuka przybywszy do miasta swego dzieciństwa? Odpowiedź: szkół, do których uczęszczaliśmy, miejsc, gdzie się bawiliśmy, po których dużo jeszcze zo-

stało wspomnień, kościołów i cmentarza. A więc, w szkole na ul. Długiej wkroczyłam w świat mundurków szkolnych pod opieką bardzo dobrego nauczyciela, który z powodu nieprzynależności do NSDAP zaraz po wybuchu II wojny światowej oddelegowany został prosto na front. Do tej szkoły wcześniej uczęszczała również moja mama. Zawsze, kiedy przechodzę tamtędy, pojawiają się obrazy z przeszłości. Czas oszczędził ów budynek, jak i wiele innych klinkierowych – jak nazywano tu domy z cegły.

Również szkoła na ul. Chopina wzniesiona została z cegły i dlatego zachowała się w tak dobrym stanie. Tam pobierałam nauki w klasie czwartej. Tę właśnie szkołę opu-

Ulubione miejsce wypoczynku dawnych zielonogórzan – młyn przy drodze do Ochli

ściłam później na rzecz Liceum dla dziewcząt przy ul. Licealnej. Szkoła posiadała piękny ogród, w którym przy ładnej pogodzie często odbywały się lekcje. Ogród już nie istnieje, ponieważ przebiega tamtędy szeroka ulica, a sam gmach przedstawia z zewnątrz szczególnie przykry widok. To naprawdę smutne, że takie miejsce pozostaje do tego stopnia zaniedbane. Wstawiono nowe drzwi, które nie mają nic wspólnego ze stylem, w jakim został wzniesiony. Zniszczono tu silny, stylowy rys secesji – tak samo jak okna kina Nysa zniszczyły architektoniczny charakter tego z kolei budynku. Tak też zapytuję sama siebie, co porabiają odpowiedzialni za taki stan rzeczy architekci miejscy.

Gdy pewien bardzo miły nauczyciel otworzył aulę, mogłam jeszcze raz zagłębić się we wspomnieniach z czasów, kiedy grając w teatrze bądź recytując wiersz, stałam na tej małej scenie w końcu sali.

Później zwiedzałam dobudowaną i dla potrzeb szkoły urządzoną salę gimnastyczną, która była niegdyś niebywale nowoczesna, a w piwnicy urządzono nie istniejącą już dziś salę łazienną z prysznicami.

Przywołam teraz moje wspomnienia z dzieciństwa, przede wszystkim te, które pozostają bezpośrednio związane z pełnym obrazem miasta. Muszę też zaznaczyć, iż moje dzieciństwo nosiło pewne znamię strachu: pochodziłam bowiem z rodziny o przekonaniach antyfaszystowskich – co to znaczy, jeśli pochodzi się z małego miasta, może sobie każdy wyobrazić przy odrobinie fantazji.

Dużo czasu spędzałam nad kąpieliskiem. Jego ślady można jeszcze znaleźć przy ul. Batorego. Wszyscy moi kuzyni, którzy mnie odwiedzali, nie mogli się bez niego obejść i właśnie tam przebiegała znaczna część mojego dzieciństwa i młodości. Dziś jeszcze dostrzec można szczątki trampoliny. Staje mi przed oczyma pierwszy egzamin pływacki, który był dla mnie nie lada wyzwaniem, mimo iż byłam starym wilkiem morskim w tych sprawach i takim pozostałam. Tutaj też właśnie nauczyłam się pływać i to całkiem sama! I kiedy dziś tak stoję nad brzegiem basenu, widzę wszystkie postacie uwijające się dookoła niego. Domek nad kąpieliskiem – nazwisko ratownika drga jeszcze w mojej pamięci: Leutloff – wygląda dziś jak rancho z westernów, można by go rzeczywiście używać jako scenerii do filmu. Wcześniej można było na jego tarasie napić się lemoniady czy kawy. Kąpielisko to dziś nie odpowiadałoby higienicznym wymaganiom klientów, ale każdy przyzna, iż okolica mogłaby wyglądać nieco przyjemniej, gdyby się o to postarano i wykorzystano ją w jakiś konkretny sposób.

Szaleństwa zimowe kojarzyliśmy z *Luisental,* gdzie urządzano lodowisko, po którym jeździliśmy na łyżwach zataczając ogromne kręgi na lodzie. Również te wspomnienia mogę szybko odtworzyć. Na święta Bożego Narodzenia dostałam właśnie łyżwy. Były to jedne z tych, które przywiązywało się do butów, chociaż buty tego nie wytrzymywały i co jakiś czas pękały podeszwy. W czasach, kiedy tak trudno było o buty, oznaczało to po prostu katastrofę.

Na *Luisental* znajdowała się mała kawiarenka oraz scena, na której czasami odgrywano małe formy teatralne. Z opowiadań rodziców wiem, iż moja mama – jeszcze jako panienka – właśnie tam zagrała żeńską postać policjanta. Wiem też, jaką kwestię wygłosiła: *Jak widać jestem kobietą nowych czasów i reprezentuję władzę w jednaki mężczyźnie sposób*... Te nowe czasy szybko stały się rzeczywistością – od dawna przecież kobiety pracują w tym zawodzie.

Luisental należał do rodziców mojej szkolnej przyjaciółki i dzięki temu mogliśmy od czasu do czasu bawić się na scenie w prześlicznych kostiumach. Latem natomiast

Dawna szkoła przy dzisiejszej ul. Lisowskiego

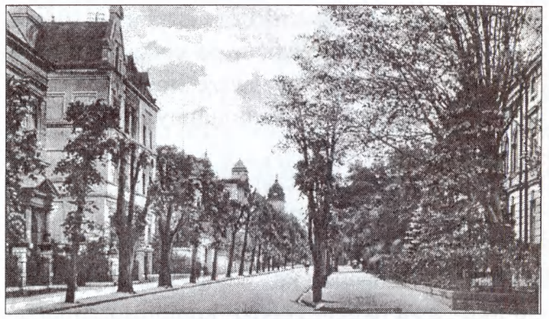

Dawna ul. Dworcowa, obecnie al. Niepodległości

pływano po owym małym jeziorze małymi łódkami. Również i to miejsce zniknęło z powierzchni ziemi – szkoda!

Moja mama była wielką miłośniczką przyrody, dlatego też prawie każdej niedzieli urządzaliśmy sobie spacery do lasu. Najczęściej przechadzaliśmy się okolicami lasu miejskiego przy Wzgórzach Piastowskich, które osiągaliśmy, idąc przez dzisiejszą ulicę Wiśniową, gdzie mieszkał mój wujek – wówczas *das Marschenfeld.* Mogliśmy tak spacerować godzinami. Moja mama upodobała sobie ten las szczególnie, a właściwie była w nim zakochana i później, gdy mieszkała w Saksonii często za nim tęskniła. Nie należało jej nawet pocieszać, gdyż nosiła się z bardzo prostym przekonaniem, iż tamtejszy las w żaden sposób nie dorównywał dawnemu. Kiedy w roku 1996 przyjechałam znów do Zielonej Góry, musiałam przyznać, iż ów las wokół miasta rzeczywiście posiada jakiś specyficzny urok, tutaj rzeczywiście w ogromnych ilościach występują na przykład brzozy. Ponadto w oczy rzucały się tutejsze grzyby. Inną dzisiejszą atrakcją lasu jest długi tor saneczkowy. Również teraz, tak od czasu do czasu, przechadzamy się wśród owych brzóz ze znajomymi, którzy ten las kochają tak, jak my niegdyś.

Moi rodzice rozkochani byli również w dawnym *Halbemeilmühle* i kąpielisku istniejącym do dziś w lesie wiodącym w kierunku Ochli *(Ochelhermsdorf).* Tam było naprawdę pięknie, wszystko pozostawione naturze, ot tak. Przypominam sobie, że tata dopiero wieczorem decydował się na kąpiel, ponieważ uwielbiał pływać sam i nie znosił, aby mu przeszkadzano – nie znaczy to jednak, aby miał być zafascynowany tym sportem.

Dzisiejszy teatr służył wcześniej za kino. Czasami wyświetlano tam filmy dla dzieci. Niestety, rzadko kiedy udawało mi się dostać bilety na te przedstawienia – zainteresowanie było zbyt wielkie.

To są jak powiedziałam wspomnienia z mojego dzieciństwa, które naturalnie ożyły na nowo dzięki pobytowi w mieście. Ówczesne małe miasto było dla dzieci oczywiście bardziej przytulne i bardziej – jakby to wyrazić – przejrzyste. Poza tym, prawdziwie miejski charakter posiada dzisiaj już tylko starówka, która dzięki deptakowi oraz coraz częściej restaurowanym kamienicom staje się z każdym dniem ładniejsza i zdaje się zachowywać swój pierwotny charakter.

Przykre wspomnienia związane są dla mnie jedynie z dziesięcioma dniami z grudnia 1945 roku, kiedy to oczekując na wysiedlenie siedzieliśmy w piwnicy UB, dla którego przeznaczono dawny budynek banku. Ale takie doświadczenia mają może również niektórzy z dzisiejszych, polskich mieszkańców miasta. To miejsce posiadało przecież charakter „międzynarodowy".

Kiedy jestem w centrum, mam czas i nie trafię akurat na mszę, idę do dawnego kościoła parafialnego i rozmyślam – również o moim dzieciństwie i o wszystkich ludziach, którzy mu towarzyszyli, a którzy najczęściej dziś już nie żyją.

Oni są przecież pogrzebani na różnych cmentarzach, z dala od swej ojczyzny.

Przyjechałam w 1996 r. do Zielonej Góry, ponieważ myślę, że my – zarówno Niemcy, jak i Polacy – powinni-

Luisental, późniejszy Wagmostaw

śmy się wzajemnie lepiej poznać, aby się lepiej zrozumieć. Moje spostrzeżenia mówią mi, iż większość ludzi, którzy tutaj mieszkają, ma takie same nadzieje, życzenia, tęsknoty, swoje miłości, zmartwienia i przyjaźnie, a istota wspólnego zrozumienia nie jest pojęciem wcale tak dalece abstrakcyjnym. Spotkałam w Zielonej Górze wielu sympatycznych i miłych ludzi, a praca ze studentami przyniosła mi sporo zadowolenia i radości, dlatego też myślę, iż czujemy się dobrze naprawdę tam, gdzie nam dobrze z ludźmi.

Mimo to, nadal odczuwam ból po stracie – co jest przecież rzeczą oczywistą. Sądzę, że ważne jest, aby także i takie uczucia wyrażać bez skrępowania.

Gudrun Lintzel

Tłumaczył Jarosław Kuczer

Gudrun Lintzel – mieszkanka przedwojennej Zielonej Góry, absolwentka Uniwersytetu Humboldta w Berlinie. W 1945 r. wraz z rodzicami opuściła miasto. Od 1996 r. pracuje jako wykładowca języka niemieckiego w Studium Języków Obcych Politechniki Zielonogórskiej (obecnie Uniwersytet Zielonogórski).

To już historia...

Sprowokowana prośbą pani przewodniczącej Sekcji Pionierów o spisanie wspomnień „z dawnych lat", postanowiłam je zapisać tak, jak utrwaliły się w mojej pamięci...

Do Zielonej Góry przyjechałam z kresów wschodnich wraz z rodzicami w październiku 1945 r. Już od stycznia 1946 r. rozpoczęłam – po przerwie wojennej – naukę w 3-letniej szkole dokształcającej. Zaraz po wakacjach, w lipcu podjęłam pracę w fabryce mostów i wagonów „WAGMO" jako tabelowa na jednym z wydziałów. Kierownik oprowadził mnie po terenie zaznajamiając z nowymi dla mnie nazwami i pojęciami. Na przykład blachę kojarzyłam zawsze z tą do pieczenia ciasta, a tu okazały się nią blachy kilkumetrowej długości i kilkucentymetrowej grubości (pozostałość po produkcji łodzi podwodnych), zaś elektryczne nożyce gilotynowe cięły je jak masło. Po szynach jeździły przesuwnice, a górą suwnice przenosiły materiały na poszczególne stanowiska pracy. Na hali produkcyjnej nitownice i młoty pneumatyczne czyniły wielki hałas, od którego nie izolowała cienka ścianka oddzielająca biuro od hali produkcyjnej. Na środku pomieszczenia biurowego stał żelazny piecyk, tzw. koza, a halę w zimie ogrzewały „koksowniki".

Do zakresu moich obowiązków – oprócz codziennego sporządzania raportu obecności, wypisywania kwitów, przepustek, a nawet dość obszernych ankiet personalnych – należało obliczanie zarobków. Żadnych maszyn nie było, tylko księgowy miał liczydła, więc rozliczanie kart akordowych – dość zresztą skomplikowane, bo na każdej karcie był czas wyznaczony i faktycznie przepracowany oraz kilku robotników o różnych stawkach godzinowych – dokonywało się na papierkach ręcznie. Suma godzin musiała pokrywać ich ilość w danym miesiącu dla każdego pracownika, których liczba stale – w miarę rozruchu zakładu – wzrastała. Trzeba było zdążyć na czas wypłaty – 10 każdego miesiąca. Pracowałam po godzinach, bo w normalnym czasie pracy zawsze ktoś przeszkodził w pamięciowym liczeniu kolumny i trzeba było zaczynać od nowa.

W Sylwestra zazwyczaj pracowałam do 23.00 i potem – choć byłam młoda – nie było już chęci pójścia na zabawę. Po pięciu latach zostałam przeniesiona do zaopatrzenia. W dużej sali pracowało 30 osób, a za oknem chodził kompresor. Sporządzałam kalkulacje na poszczególne wagony. Otrzymywałam do obliczeń ręczną maszynkę, tzw. kręciołek, a po pewnym czasie sumator i kombajn 4-działaniowy, który hałasował przeszkadzając innym pracownikom.

U lekarza zgłaszałam sprawę natężenia hałasu, była to jednak sprawa inwestycji biurowca, który po latach został wybudowany i nareszcie każda sekcja mogła uzyskać osobne pomieszczenie i możliwe warunki pracy. Otrzymałam wreszcie cichą elektronową maszynę do liczenia i tak przepracowałam ponad 35 lat do emerytury.

W tym czasie miasto też zmieniało się i rozrastało. Główna w latach pięćdziesiątych ulica, al. Niepodległości, to obecnie deptak, a wąziutka ul. Piesza, między ogródkami, przejezdna tylko rowerem, to obecnie ul. Boh. Westerplatte. Były cmentarz przy ul. Chrobrego, to Park Tysiąclecia, a wzniesienia przy Parku Piastowskim, gdzie kiedyś pasły się kozy, wykorzystano do wybudowania amfiteatru. Na obrzeżach miasta powstały nowe osiedla, domy i ulice, których wszystkich nazw – choć tyle już lat mieszkam w Zielonej Górze – nie znam.

Z dawnych winnic niewiele pozostało, ale Winobranie odbywa się tradycyjnie co roku. Kiedyś podziwiałam zagraniczny folklorystyczny zespół tańczący w sabotach, czyli w butach w całości wyżłobionych w drewnie, na ulicy wybrukowanej tzw. kocimi łbami i szło im to sprawnie. Ja nie zrobiłabym nawet jednego kroku.

Od tamtego czasu minęło już wiele lat! Z grona bliskich osób stale kogoś ubywa i poszerza się wciąż zielonogórski cmentarz. Pozostają wspomnienia o ludziach serdecznych, życzliwych, pomagających w ciężkich chwilach życiowych doświadczeń.

Antonina Żulik

Wydana przed kilkoma miesiącami książeczka autorstwa W. J. Brylli pt. *Ewangelicki Kościół Jezusowy w Zielonej Górze (historia parafii i kościoła 1910-2000)*, to kolejna już publikacja poświęcona zielonogórskim ewangelikom. Wśród wcześniejszych tego rodzaju dzieł trzeba wymienić pracę zbiorową pod redakcją również W. J. Brylli pt. *50 lat Parafii Ewangelicko-Augsburskiej w Zielonej Górze* (autorzy zawartych tam studiów: D. Dolański, T. Jaworski, W. J. Brylla, J. P. Majchrzak, J. Pośpiech; Zielona Góra 1998) oraz artykuł ks. biskupa J. Pośpiecha pt. *Zarys historii parafii ewangelicko-augsburskiej w Zielonej Górze* („Studia Zielonogórskie", t. VI, 2000).

Ryszard Michalak

KS. JAN ZAJĄCZKOWSKI PASTOR PIONIER

Opracowania te przypominają, że w swej bogatej historii Zielona Góra stanowiła niegdyś lokalne centrum luteranizmu, a miasto było jednym z nielicznych na Dolnym Śląsku, w którym polscy ewangelicy mieli swój kościół i swoich księży. We wszystkich tych opracowaniach przypominane są także pionierskie działania, które doprowadziły do erygowania Parafii Ewangelicko-Augsburskiej po zakończeniu II wojny światowej. Jako że temat ten nie był nigdy podnoszony na łamach „Pionierów", warto przypomnieć za wymienionymi autorami, że pierwszym pastorem, który podjął taką próbę po 1945 r., był ks. Karol Świtalski, zaś tym duchownym, którego misja w pełni się powiodła był ks. Jan Zajączkowski.

Ks. Jan Zajączkowski urodził się w Warszawie 13 marca 1916 r. W Warszawie ukończył ewangelicką Szkołę Powszechną im. Mikołaja Reja, a następnie III Gimnazjum Miejskie. W 1935 r. rozpoczął studia na Wydziale Teologii Ewangelickiej Uniwersytetu Warszawskiego. Czynnie angażował się wówczas w życie kościelne warszawskiej parafii luterańskiej. Wojna przyniosła nie tylko rozbicie struktury Kościoła ewangelicko-augsburskiego przez hitlerowców, ale również przerwała życie wielu świeckich i duchownych ewangelików, którzy odrzucili możliwość wyrzeczenia się Polski i trafili do obozów koncentracyjnych. W grupie tej byli m.in.: zwierzchnik Kościoła ks. biskup Juliusz Bursche i wielu członków jego rodziny, ks. Leon May, ks. Karol Kulisz, ks. Ryszard Danielczyk, ks. Józef Nierostek i ks. Władysław Pawlas. Jak pisał w 1947 r. na łamach „Strażnicy Ewangelicznej" (nr 15-16) ks. Waldemar Preis: „(...) *obok wyszydzanego a umęczonego Kościoła katolickiego ofiary największe ponieść musiał ewangelicyzm polski, traktowany ze względu na poważną ilość wyznawców pochodzenia niemieckiego ze specjalną nienawiścią, gdyż w większości olbrzymiej polscy ewangelicy nie poszli na lep hitlerowskiej propagandy rasistycznej a swą polskość udowodnić pragnęli wobec często fałszywie zorientowanego własnego społeczeństwa właśnie gotowością do poniesienia najcięższych ofiar dla Ojczyzny*".

Inna grupa duchownych i aktywistów została też wysłana do obozów pracy. Jan Zajączkowski został aresztowany przez gestapo w czerwcu 1940 r. Wywieziono go „na roboty" do Bawarii. Uciekł stamtąd w listopadzie i powrócił do Warszawy. Po zakończeniu wojny przeniósł się z rodziną do Jeleniej Góry, a wkrótce potem do Legnicy. W 1948 r. dokończył przerwane przez wojnę studia teologiczne na Uniwersytecie Warszawskim. 4 kwietnia 1948 r. został ordynowanym duchownym Kościoła ewangelicko-augsburskiego. W tym samym roku rozpoczął też pracę organizacyjno-duszpasterską poza Legnicą, a mianowicie w Nowej Soli, Kożuchowie, Szprotawie, Żaganiu, Żarach i w

Zielonej Górze. Pastorem zielonogórskim pozostawał nieprzerwanie do 1960 r. Czynną pracę duszpasterską sprawował zaś do 1987 r.

W grudniu ub.r. zwróciłem się do ks. Jana Zajączkowskiego z listowną prośbą o przypomnienie Czytelnikom „Pionierów" wydarzeń, które towarzyszyły powołaniu Parafii Ewangelicko-Augsburskiej w Zielonej Górze. Poniżej prezentuję fragmenty listu (z 11 grudnia 2001 r.) będącego odpowiedzią na moją prośbę. Ks. Zajączkowski nie kryje w nim m.in., że ekumeniczny dialog i współpraca międzykościelna, były bezpośrednio po wojnie wartościami niemal abstrakcyjnymi. Z dzisiejszej perspektywy, kiedy Kościoły rzymskokatolicki i ewangelicko-augsburski współpracują ze sobą na wielu płaszczyznach, wydaje się to dziwne. Cała ta sytuacja uczy jednak, że do zgody dojść można, mimo najtrudniejszych początków.

*

(...) Bardzo cieszę się, że Pana interesuje historia dotycząca powstania Parafii Ewangelicko-Augsburskiej w Zielonej Górze. Znalazłem się tam w roku [19]48 z inicjatywy pana Stonawskiego, Cieszyniaka zamieszkałego w Zielonej Górze, wraz z żoną i córką Danutą. Ten wziął moje nazwisko od ks. prof. Jana Wiktora Niemczyka przedstawiciela Konsystorza na Ziemie Zachodnie, urzędującego we Wrocławiu.

Ja wówczas przemieściłem się z Jeleniej Góry do Legnicy, gdyż trzeba było organizować parafie w Legnicy, Jaworze, Bolesławcu, Złotoryi, Nowym Kościele, a także w Bolesławcu i w Bolkowie. Wszędzie tam Niemcy opuszczali Kościoły, które trzeba było przejąć dla Kościoła, inaczej zająłby je Kościół rzymskokatolicki albo uległyby zniszczeniu. A więc miałem w Zielonej Górze punkt zaczepienia, mieszkanie i ludzi. W Zielonogórskiem już skończył się masowy wyjazd Niemców i Kościół rzymskokatolicki zajął wszystkie budynki kościelne, zacząłem więc pracę duszpasterską w Zielonej Górze od odprawiania nabożeństw w mieszkaniu pp. Stonawskich przy ul. Bankowej. Wynalazłem ewangelików, w większej mierze wśród autochtonów, których spis dano mi w Miejskiej Radzie.

Wystąpiłem też, przez Wydział do Spraw Wyznań, o przydzielenie Parafii Ewangelicko-Augsburskiej w Zielonej Górze, w której powołałem Radę Kościelną, jednego z poewangelickich kościołów znajdujących się w pobliżu śródmieścia. Wybrałem kościół najmniejszy, użytkowany przez 5 zakonników, którzy zajęli także plebanię obok kościoła. Musiałem więc z pismem jechać do władz wojewódzkich urzędujących wówczas w Gorzowie. Później przeniosły się one do Zielonej Góry, miałem więc bliżej. Wydział do Spraw Wyznań przyznał ten najmniejszy budynek kościelny parafii w Zielonej Górze, ale zakonnicy nie chcieli z niego zrezygnować, powołując się na proboszcza urzędującego w niedalekim kościele – też byłym ewangelickim. Tłumaczyli, że kościół jest „poświęcony", jest w nim „sakrament". W ogóle Kościół rzymskokatolicki uważał, że wszystkie kościoły w mieście im się należą. „Ewangelicy – to Niemcy, a ci nie mają żadnych praw, wyjechali i wyjadą", a więc wszystkie budynki kościelne im się należą i nie muszą niczego robić, by zostać ich spadkobiercami. Ja jednak nie ustępowałem. Powołując się na decyzję Wojewódzkiej Rady, skierowałem pismo do proboszcza z wezwaniem do opuszczenia kościoła w określonym terminie. Ustaliłem datę, grożąc, że po upływie tej daty otworzę przemocą kościół i zajmę go, zgodnie z decyzją władz. Gdy proboszcz nie oddał mi klucza od kościoła, oddał go w Radzie Miejskiej, odebrałem stamtąd klucz i zacząłem odprawiać nabożeństwa w kościele. Najpierw raz w miesiącu, a później dwa razy. Znalazłem też dzieci autochtonów, które przygotowywałem do konfirmacji. One też stały się później członkami chóru kościelnego, który prowadziła pani Małgorzata, która była także naszą pierwszą organistką (...)

Nawet myślałem przez pewien czas, aby przenieść się do Zielonej Góry, ale i Legnica i otoczenie mnie potrzebowało. Moja żona pracowała w Spółdzielni Społecznej i zarabiała więcej niż ja. Tak więc warunki finansowe właściwie sprawiły, że zdecydowałem się pozostać w Legnicy (...).

Ks. Jan Zajączkowski

Ryszard Michalak

Ryszard Michalak – adiunkt w Instytucie Politologii Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Wywiad z Witoldem Nowickim CZ. 2
ZIELONOGÓRSKIM MALARZEM

Witold Nowicki, malarz, współtwórca zielonogórskiego okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków (także odtwarzanego w 1990 r.), oddziału Pracowni Sztuk Pięknych i Biura Wystaw Artystycznych, współorganizator sympozjów i plenerów „Złotego Grona".

Na drugie spotkanie pan Witold przyniósł i podarował mi jeden ze swoich albumów pt. „Akwarele malowane i pisane". Fragment jednego z jego wierszy oddał atmosferę tego, czym może być malarstwo:

Pytali czym jest
obraz odpowiadał – czym może być
wszystkim lub prawie wszystkim ale
nie dla wszystkich wszystkim
a dla mnie jest (...)

Pan Witold dodaje: „Podstawowym obowiązkiem każdego człowieka jest obowiązek dbania o siebie. Sztuka daje możliwość różnego przeżycia każdego dnia. Taka potrzeba przeżywania w jak najszerszej amplitudzie pozwala człowiekowi na odrywanie się od układów społecznych. Jeżeli człowiek znajdzie wewnętrzne zadowolenie dzięki zajęciom niekoniecznie związanym z pracą zawodową, może żyć w spokoju duchowym, jeżeli nie, popada w niewolnictwo".

Oglądając album podarowany mi przez pana Witolda na dłuższą chwilę zatrzymałam się przy akwareli przedstawiającej cerkiew...

Witold Nowicki – Mauzoleum w Wiesbaden. Ciekawa historia. Byłem kiedyś w okolicy Moguncji. Pewnego dnia przeczytałem w gazecie frankfurckiej artykuł o mauzoleum w Wiesbaden. Jego powstanie ukazane było dość sensacyjnie, na tyle, że postanowiłem tam pojechać. Widok, jaki ujrzałem to przepiękna budowla usytuowana na stoku góry, poza miastem, w tle malowniczy las. Jego historia była tak samo ciekawa, jak sama budowla. Wielki książę Adolf von Nassau w poł. XIX w. poznał na dworze carskim rosyjską księżniczkę Elżbietę Michajłownę, siostrzenicę cara Mikołaja I. Starania księcia o rękę księżniczki uwieńczone zostały sukcesem i wkrótce młodzi pobrali się. Jednak po roku ukochana księcia zmarła. Młody wdowiec postanowił wybudować dla zmarłej żony pomnik i mauzoleum. Sarkofag z kamienia z postacią leżącą wykonał rzeźbiarz, natomiast za posag jaki car przeznaczył dla księżniczki, książę postanowił wybudować cerkiew. W tym celu wysłał budowniczego architekta do Moskwy ze zleceniem wykonania dokładnych kopii planów cerkwi z zewnątrz i od wewnątrz. Na podstawie planów wykonano idealną kopię tej kremlowskiej świątyni. Wewnątrz natomiast umieszczono sarkofag.

Paradoks historii polega na tym, że w latach 20. moskiewska cerkiew została wysadzona w powietrze przez Sowietów, na jej miejscu znajduje się obecnie pałac zjazdów. Kopia stała się więc jedynym oryginałem.

Mauzoleum w Wiesbaden stało się natomiast siedzibą archimandryty Tcheodora Golicyna. Paradoks drugi polega na tym, że władze sowieckie po II wojnie światowej zwróciły się do władz niemieckich o zwrot państwu radzieckiemu mauzoleum w Wiesbaden, jako dobra wybudowanego z funduszy rosyjskich. Odpowiedź była odmowna.

Małgorzata Twarowska – Wróćmy do wspomnień. Do Zielonej Góry przyjechał pan na początku lat 50. Skąd ta decyzja?

W. N. – W 1953 r. Ministerstwo Kultury i Sztuki zorganizowało akcję tworzenia środowisk artystycznych w miastach na północy i zachodzie kraju. Ja z kolegą zdecydowaliśmy, że nowy etap naszego życia rozpoczniemy w którymś z tych miast. Początkowo udaliśmy się do Giżycka, potem do Zielonej Góry i tu już zostaliśmy.

M. T. – Jak wyglądały pierwsze dni w nowym środowisku?

W. N. – Początki w Zielonej Górze nie nastrajały zbyt entuzjastycznie. Pani Dębnicka z Wojewódzkiego Wydziału Kultury, która chciała stworzyć środowisko plastyczne, postanowiła osiedlić artystów plastyków w podzielonogórskich Cigacicach, gdyż posiadały znakomite warunki pejzażowe. Z wielu względów po pewnym czasie ten pomysł musiał być zarzucony, niemniej jednak przez jakiś czas mieszkało tam sześciu młodych malarzy.

Po przeniesieniu do Zielonej Góry w maju 1954 r. postanowiliśmy się zorganizować. Udaliśmy się do

Związku Polskich Artystów Plastyków z prośbą o zorganizowanie najmniejszej komórki związkowej. Nastąpiło to w czerwcu lub w lipcu, już nie pamiętam. Wówczas przyjechał do Zielonej Góry przedstawiciel Okręgu z Poznania oraz przedstawiciel ZPAP z Warszawy i Ministerstwa Kultury. Powołano delegaturę ZPAP.

W początku następnego roku do Zielonej Góry przyjechali emisariusze ZPAP Komitetu Wystawy Młodych w Arsenale. Na skutek tego spotkania w późniejszym czasie kilku zielonogórzan wzięło udział w znanej prezentacji w warszawskim Arsenale, byli to m.in.: Felchnerowski, Szpakowski, Nowicki.

W dziedzinie plastyki wcześniej niż w polityce odczuwało się nadejście tzw. odwilży, której rezultatem społeczno-politycznym było powstanie w Poznaniu i Polski Październik. Nasze środowisko wykazywało wielkie zainteresowanie prądami w sztuce, także nowymi, istniejącymi aktualnie na zachodzie. Zaobserwować można było na naszych skromnych wystawach stopniowe przechodzenie od kolorystycznego realizmu do zdecydowanej deformacji, a stąd do abstrakcji geometrycznej i abstrakcji miękkiej.

M. T. – Skąd czerpaliście tematy do waszej twórczości? Czy były to zlecenia, czy może malarstwo niezależne?

W. N. – Niestety, były to czasy, kiedy istnienie koniecznej dychotomii było obecne nie tylko w środowisku malarskim. Z jednej strony niezależne malarstwo, z drugiej sztuka użytkowa podlegająca rygorom rynku, ale przynosząca podstawy materialne.

M. T. – Jakie były kolejne etapy rozwoju środowiska zielonogórskich artystów plastyków?

W. N. – Rozwój naszego środowiska wymagał dalszych starań ze strony artystów plastyków, czego efektem było powołanie w Zielonej Górze państwowych Pracowni Sztuk Plastycznych jako oficjalnej bazy materialnej. Kolejnym krokiem była budowa pawilonu wystawowego przy al. Niepodległości (BWA) z biurowymi lokalami BWA i ZPAP. W ścisłej współpracy z BWA rozpoczął się cykl dość ożywionego wystawiennictwa na terenie Ziemi Lubuskiej, w kraju, później za granicą.

M. T. – Wielu mieszkańcom miasta jest pan znany jako aktywny działacz społeczny.

W. N. – Nie tylko ja. Całe nasze środowisko uczestniczyło w życiu społecznym miasta. Ja byłem współzałożycielem Towarzystwa Przyjaciół Zielonej Góry i Lubuskiego Towarzystwa Kultury. W 1959 r. zostałem wybrany na radnego miasta i sprawowałem ten urząd przez jedną kadencję.

M. T. – Lata 60. Narodziny „Złotego Grona". Co wniosła ta cykliczna impreza do środowiska artystów plastyków?

W. N. – Przede wszystkim ożywienie. Ja, z racji pełnienia w zarządzie funkcji wiceprezesa i innych, przez cały czas brałem udział w pracach komitetu organizacyjnego. Byłem także uczestnikiem wystaw i sympozjów (m.in. w Łagowie i Drzonkowie).

M. T. – W 1981 r. ogłoszono stan wojenny. Miał on decydujący wpływ na dalszą działalność ZPAP.

W. N. – Rzeczywiście. Działalność związku została zawieszona, a następnie ZPAP rozwiązano. W stanie wojennym zezwolono na powołanie przy Urzędzie Wojewódzkim Rady Plastyki, której przewodniczącym – z wyboru środowiska, a wbrew swoim przekonaniom – zostałem ja. Cała działalność wiązała się z ogólnie rozumianą obroną materialnych potrzeb artystów plastyków. Zmiany przyniósł rok 1990. Decyzją sądu w Warszawie przywrócono ZPAP do niezależnej działalności, ale szkody spowodowane przez okres lat 80. są niemożliwe do odrobienia aż do chwili obecnej.

M. T. – W swoim dorobku artystycznym ma pan...

W. N. – W przeciwieństwie do młodych artystów, którzy prowadzą skrupulatną dokumentację działalności artystycznej, ja do tego nigdy nie przywiązywałem zbytniej wagi. Patrząc na ten obszerny czas przeszły muszę stwierdzić, że chociaż regularnie uczestniczyłem w prezentacjach środowiska w Zielonej Górze, w kraju i za granicą, to wystaw indywidualnych zorganizowałem niezbyt wiele.

Pozwolę sobie wyrazić opinię, że akcja wystawiennicza jest w gruncie rzeczy działalnością charytatywną; autorowi korzyści artystyczne przynosi raczej znikome, a materialne jeszcze mniejsze.

W skali całego kraju wyłącznie z malarstwa żyje niewielu twórców, a u nas procent ten jest jeszcze niższy.

M. T. – Wiem, że cenił pan sobie pracę w plenerach, których na pana drodze samoedukacji było całkiem sporo.

W. N. – Rzeczywiście wyjazdów na plenery odbyłem bardzo dużo. Najczęściej były to imprezy krajowe organizowane przez nasze środowisko, ale także poznańskie, koszalińskie, wrocławskie. Do cennych studiów artystycznych zaliczyłbym także podróże artystyczne. Odbyłem ich niezliczoną ilość, począwszy od byłego Związku Radzieckiego do Portugalii i od Norwegii do Włoch i Grecji. Poza tym morskie rejsy statkami do krajów basenu Morza Śródziemnego, od Turcji, Libanu i Egiptu, do Algieru, Maroka, Hiszpanii i Francji, także do wybrzeży Afryki Zachodniej, który to kontynent zwiedzałem w sumie aż 8 razy. Zwiedzając robiłem przy tym szkice, akwarele i zdjęcia.

Już w latach 60. rezultatem podróży była indywidualna wystawa „Impresje śródziemnomorskie" (w Poznaniu i w Zielonej Górze).

Ważnym elementem samoedukacji stało się zwiedzanie słynnych muzeów w wielkich miastach: w Rzymie, Londynie, w Nicei, Antwerpii, Oslo, Berlinie, w Budapeszcie, Pradze, Atenach, Stambule, w Moskwie czy w Leningradzie.

M. T. – Moja rodzina...

W. N. – Wkrótce po przybyciu do Zielonej Góry założyłem rodzinę. Dwoje naszych dzieci urodziło się kolejno w latach 1955 i 1957. Pod koniec lat 60. dotychczasowe mieszkanie w bloku okazało się na tyle niewystarczające, że podjęliśmy z żoną decyzję o budowie domu. Zdecydowaliśmy się na działkę na peryferiach miasta, ponieważ chcieliśmy uciec od ulicznego zgiełku. Ulica Braniborska usytuowana była na peryferiach i z jednej strony przylegała do lasu. Przez krótki czas byliśmy nawet ostatnim domem w mieście. Bliskość lasu umożliwiała nam częste wypady na łono natury z naszym dobermanem Baronem. Wiele razy, w noc sylwestrową także, wybieraliśmy się do lasu z własnoręcznie zrobionymi pochodniami.

W trakcie budowy domu okazało się, że będziemy mieli wspaniałych sąsiadów, państwa Stelleckich-Gołębiowskich. Nie umawiając się, zasiedlaliśmy nasze domy równocześnie, począwszy od 1971 r.

Kolejne etapy w życiu naszej rodziny przyniosły jej powiększenie. Nasze dzieci doczekały się swoich dzieci, a my z żoną czterech wnuczek i jednego wnuczka, chociaż na razie nie widać możliwości, aby przetrwało nazwisko.

M. T. – Wiem, że ma pan także swoją drugą, obok malarstwa, pasję życiową – kaktusy. Skąd zainteresowanie tymi roślinami?

W. N. – Odbywając zagraniczne podróże artystyczne rozbudziłem w sobie zainteresowanie roślinnością egzotyczną, a w szczególności rodziną kaktusowatych i kaktusopodobnych (sukulanty pędowe). W moich zbiorach, z olbrzymiej rodziny *Cactaceae*, najczęściej występują opuncje płaskie i cylindryczne, cereusy – kilkumetrowe, kolumnowe i monstrualne, liczne gatunki mammilarii i nie należące do kaktusów różnorodne euforbie (wilczomlecze sukulentowe) oraz agawy.

Nie będę tutaj wspominał o przygodach związanych ze „szmuglowaniem" sadzonek kaktusów i innych kolczastych dziwów przez granice morskie i lądowe. W sumie dało to znaczną, różnorodną kolekcję. Obcowanie z nimi daje mi wiele satysfakcji i pozwala zregenerować siły. Dużej przyjemności dostarcza mi szczepienie, rozmnażanie itp. tych egzotycznych roślin. Członkowie mojej rodziny zarzucają mi nieraz, że zbyt wiele czasu zdarza mi się poświęcać temu hobby.

„Kaktusiarnia" pana Witolda rzeczywiście jest imponująca. Miałam okazję przyjrzeć się tym niezwykłym okazom z bliska. Wśród rozmaitych kolczastych „dziwolągów" w tej małej palmiarence rosną także egzotyczne owoce i kwiaty. Za palmiarnią, z tyłu domu, jest wykopany w ziemi ogród, którego ściany stanowią skarpy umocnione kamieniami. Wszystko to razem daje niepowtarzalny efekt.

W. N. – Oprócz zainteresowania roślinnością egzotyczną mam jeszcze jedno hobby – żeglarstwo śródlądowe. Wspomniałem już wcześniej, że w latach 40. odbyłem wiele rejsów po jeziorach mazurskich i na pewno byłem jednym z lepszych znawców tych akwenów. Kilka razy udało mi się uczestniczyć także w ciekawych rejsach morskich, a nawet pełnomorskich. Początkowo żeglowałem po Bałtyku do Niemiec na jachtach „Janek Krasicki" i „Generał Zaruski", a następnie z patentem sternika morskiego na jachcie „Zawisza Czarny" wyruszyłem w ponad 5-tygodniowy rejs z Algieru przez Gibraltar, porty hiszpańskie, Plymouth i Lubekę do Gdyni, przeżywając po drodze kilkudniowy bardzo silny sztorm na Zatoce Biskajskiej.

M. T. – Czy czuje się pan spełniony zawodowo, a w życiu osobistym nazwałby pan siebie człowiekiem szczęśliwym?

W. N. – Uważam, że wykonywanie zawodu, czy uprawianie sztuki wyłącznie, nie powinno być celem człowieka. Myślę, że dopiero patrząc wstecz, wszystko razem przeżyte czynnie i biernie daje pewną całość, nad którą można by się pochylić, poddać analizie, wyciągnąć wnioski. W tych rozważaniach człowiek okaże się altruistą lub egoistą, chociaż takie „ekstremalne" przypadki są rzadkie, to któraś z form pośrednich może mieć swój sens i usprawiedliwienie naszego czasowego koczowania na tym „najlepszym" ze światów, jak powiada bohater Woltera.

Po przeżyciu tylu to, a tylu lat mam w sobie jakąś dozę optymizmu, pesymizmu, niewiele entuzjazmu, kiedy trzeba pewną ilość cynizmu i innych -izmów, przydatnych do doraźnych celów samoobrony.

M. T. – Dziękuję za rozmowę.

Widok Zielonej Góry z „Widoku"

Istnieje przeświadczenie, że o ile się osiągnęło 70 lat, to wiele się doświadczyło, co niekoniecznie musi być prawdą. Ale istnieje wtedy męcząca otoczenie pokusa, aby przekazywać swoje prawdy o życiu. Nie należy jednakże tego poczucia nadużywać, gdyż jedynie słuszne racje płynące z głów okrytych siwizną, bardzo się skompromitowały. Tak więc pozostają wspomnienia, a o ile dotyczą naszej młodości, to zazwyczaj są piękniejsze niż dzisiejsze czasy.

W roku 1956, a więc niewiele brakuje, aby powiedzieć prawie pół wieku temu, mój Szef zapoznawał mnie z miastem, o którym wcześniej nic nie wiedziałem. W tym bowiem czasie, po Poznańskim Czerwcu, Wojewódzki Konserwator Zabytków mgr Klemens Felchnerowski przyjął mnie do pracy.

– Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej przyjmuje Obywatela do pracy w tut. Prezydium w charakterze asystenta konserwatorskiego w Wydziale Kultury z dniem 1 sierpnia 1956 r... Okrągła pieczęć i podpis. – Sekretarz Prezydium WRN. Henryk Korwel.

I tak zaczęło się moje szczęśliwe życie zawodowe. Szef dbał o swojego asystenta. Gdy nie wyjeżdżaliśmy w teren, zdobywałem wiedzę na miejscu o naszym mieście.

Po Polskim Październiku, rozdygotany układ polityczny na szczeblu wojewódzkim przygotowywał się do zmian personalnych. Układ przestrzenny starego miasta uspakajał, trwał bowiem bez zmian przeszło 700 lat.

Mój Szef wyjął z szafy opasłe tomisko Hugo Schmidta z roku 1922 – *Geschichte der Stadt Grünberg*.

– *Dzisiaj się zapoznasz z uliczkami w obrębie murów miejskich. Masz na to dwie godziny. Spotkamy się w lokalu „Widok" przy ulicy Widok.*

(Dzisiaj ta ulica nazywa się Chopina).

Z notatek wypisanych z pracy niemieckiego kronikarza starałem się ustalić, że uliczki leżące w centrum: Mariacka to *Munsch Gasse* [Mnisia], a Kościelna to *Katholische Kirchgasse* czy *Kleine Kirchstrasse*. Wyobrażałem sobie, że tymi uliczkami przemykali skupieni mnisi do swoich świątyń, a także, że tutaj musiał panować duży tłok i hałas, gdy w dni targowe handlowano przy kościołach dewocjonaliami.

Przy ulicy Szkolnej było wówczas Muzeum. Mieściło się w okazałym gmachu szkoły ewangelickiej wzniesionej w 1770 roku. Stąd nazwa *Schulstrasse*. Ale wcześniej ta ulica nazywała się *Schurgasse, Schorr-Gasse, Tschorrgasse*, co przez mojego Szefa, Klema Felchnerowskiego zostało wyjaśnione, że tę część miasta zasiedlali rzemieślnicy, a konkretnie postrzygacze sukna. Oświata wyparła przemysł, a z kolei oświatę zasłużony rzemieślnik zielonogórski, Kazimierz Lisowski, któremu poświęcono właśnie ten zakątek starego miasta. Stąd wąskim traktem, dzisiaj tylko pieszym, można wyjść prawie wprost na drzwi ratusza. Ta uliczka dzisiaj nie ma nazwy, dawniej określano ją jako *Apothekergaschen*, od apteki, która przetrwała w tym miejscu i burze dziejowe, i zakręty polityczne. Także bez nazwy pozostał zaułek za Wieżą Głodową, dawniej Łaziebną – *Hintergasse*, to jest uliczka przymurna. Dochodziło się nią na plac Garncarski, zlokalizowany przed bramą miejską, gdzie oczywiście handlowano towarem określającym nazwę placu. W roku 1956 nazywało się to miejsce placem Lenina i, aby nie spostponować Wodza Rewolucji, nie handlowano niczym. Z drugiej strony zaułek przymurny kontaktował się z ulicą Krawiecką, związaną z placykiem przeznaczonym na handel nabiałem. – *Buttergasse*, a później już poważniej – *Buttermarkt*. Tak więc ulica Krawiecka powstała niejako z ulicy Maślanej. Kiedy jako tako poukładałem sobie te nazewnicze historie, ruszyłem do lokalu „Widok". Szef przyszedł niebawem. Wchodziło się wprost z ulicy. Pokonywało się jeszcze szaroburą kotarę, wiatrołap zawieszony na półokrągło wygiętym metalowym pręcie i już było się we wnętrzu. Żelazna klientela to byli wozacy ze składnicy węgla przy ulicy Lisiej. Opuszczali lokal tłumnie, gdy przyszedł wagon. Najważniejszy był bufet z niklowanym syfonem i szafka z garmażerką. Pani Bufetowa wolno wyszła zza kontuaru, zebrała cztery opróżnione kufle, dwa z nich opłukała w spienionej wodzie i napełniła złocistym płynem. Piwo zaniosłem na laminowaną ławę udającą szlachetny jednobarwny stiuk. Psuły nieco estetyczne wrażenie dwie zardzewiałe rury-nogi podtrzymujące ten wykwintny stół. Szef w tym czasie zamówił dwie setki. Rozlano je w cztery pięćdziesiątki. Jako zakąskę potraktowano jajeczko z zielonym żółtkiem (alkohol tylko z zakąską). Mieliśmy wszystko. Poruszyłem problem merytoryczny. Szef próbował uporządkować przebieg uliczek w topografii starego miasta, według lektury Hugo Schmidta. – *Munsch Gasse*, *Katholische Kirchgasse* i *Kleine Kirchstrasse* – ale w końcu machnął ręką i wydał dyspozycje: – *Zrobisz to na historycznym planie starego miasta.*

Odniosłem zakąskę, którą Pani Bufetowa natychmiast włożyła do szafki. Aby się zbytnio nie zakurzyła. Teraz nastąpiła część dydaktyczna. Szef posłużył się pierwszym wydrukowanym informatorem z roku 1945. Wydany został przez „Zakłady Graficzne pod zarządem państwowym w Zielonejgórze" Zielona Góra rozłożyła się na 170 ulicach. Nas przy tym stole interesowały tylko te miejsca, które oferowały smaczne jadło i napitek, a więc 14 restauracji i 9 kawiarni. Hotele zapraszały ponadto także na dansingi: „Polski", „Viktoria", „Obywatelski", „Polonia", „Pod Białym Orłem" i „Parkowy". Pysznił się pensjonat „Barburka", kawiarnia „Wielkopolanka", cukiernia „Zacisze", jadłodajnia o zdumiewającej nazwie „Restauracja Korpusu Śpiewaków Ziem Zachodnich" oraz „Probiernia-Śniadalnia", oferująca po zniżonych cenach domowe śniadania. Zielonogórzanie zaopatrywali się w 27 sklepach kolonialnych i spożywczych, w 12 kupowali papierosy, w 9 owoce, ciastka w 8 cukierniach, a mleko masło i sery w 7 nabiałowych. Rzeźników było 33, a piekarzy 47. Owoce i warzywa sprzedawali także ogrodnicy. W nadmiarze było krawców, szewców, stolarzy i malarzy pokojowych. Z trudem mogłem sobie to wyobrazić w smutnej i szarej Zielonej Górze roku 1956. Prywatna inicjatywa nie istniała, unicestwiona za drobnymi wyjątkami w ramach walki klasowej. Śladem tego na „Widoku" pozostała babka klozetowa obsługująca ten przybytek według cennika: – „Ściana 50 groszy, kabina 1 złoty". Tylko nieliczni pamiętają, że „Ściana" to wysmołowana część pomieszczenia z odpływem wyrobionym w betonie. To już tylko wspomnienia z przeszłości. I komu to przeszkadzało? Zielona Góra była miastem dynamicznym, znakomicie się rozwijającym. Pytać należy ponownie. I komu to przeszkadzało? Ale to nie jest pytanie, którym zwracamy się ku przyszłości.

– *Nie może być tak samo, musi być inaczej* – powiedział Szef i wyjaśnił: – *Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Zielonej Górze unieważniło nazwę ulicy Generalissimusa Józefa Stalina i od 27 października 1956 r. jest to wreszcie Aleja Niepodległości.*

Jan Muszyński

Dolina Odry, o długości 48 km i powierzchni 310 km², ciągnie się od Krosna Odrzańskiego na południowym wschodzie, zaś na północy do Uradu. Dolina Odry często również nazywana jest Pradoliną Warszawsko-Berlińską. Teren ten należy do dwóch powiatów: Krosno Odrzańskie (Gminy Krosno Odrz. i Maszewo) i Słubice (Gmina Cybinka). Lasy nadzorowane są przez Nadleśnictwo w Bytnicy. Dolina obejmuje obszar obniżenia po obu stronach rzeki o szerokości od 2 do 5 km i posiada bogatą i różnorodną szatę roślinną. Na jej terenie znajdują się starorzecza, łąki łęgowe, pola uprawne, nieużytki, siedliska krzewów i drzewostany. Starorzecza w dolinie na łęgach to akweny o różnej wielkości, o nieregularnych brzegach, odpływowe i nieodpływowe oraz oczka wodne. Tuż obok części akwenów i oczek porasta las i niska roślinność. Bliżej wody występują rośliny łąk podmokłych, a tam gdzie rośliny rosną w płytkiej wodzie zespoły szuwarów. Sąsiadują one z pasem trzcin, lilii wodnych i innych roślin głębszej wody. Starorzecza powstały po regulacji Odry.

W drugiej połowie XIX w. w celu zabezpieczenia terenów nadrzecznych przed niszczycielskim działaniem wody – zapobiegając powodziom i dążąc do zwiększenia szybkości biegu rzeki i ułatwienia żeglugi – przeprowadzono stosowne roboty. Polegały one na wyprostowaniu nadmiernie występujących zakoli (serpentyn), poszerzeniu zwężeń i pogłębieniu koryta. Zabezpieczono brzegi przed wylewem wody, budując wzdłuż rzeki wały ziemne, a koryto zabezpieczono tzw. główkami (ostrogami), wyłożonymi kamieniami. Operacja ta, bardzo kosztowna, spowodowała skrócenie rzeki o prawie 180 km. Nie ochroniło to przed większym napływem wody, a wręcz przeciwnie, ułatwiło rozlewanie się rzeki ze względu na mniejszą powierzchnię koryta, szybszy bieg rzeki, itp. Roślinność doliny, wielkości, rodzaje i gatunki uzależnione są od gleb, siedlisk okresowo zalewanych, podtapianych lub podtopionych oraz od wahań w ciągu roku poziomu wód gruntowych. Łąki łęgowe o bujnej urozmaiconej roślinności złożonej z wysokich traw i poszycia zajmują największy obszar doliny. Poza trawami porastają one, niestety, w niektórych miejscach drzewiastymi krzewami. Część łęgów, położonych wyżej, w pobliżu osiedli, mieszkańcy wykorzystują dla celów hodowlanych, rolniczych i ogrodniczo-sadowniczych. Obecnie część terenu po uprzednich uprawach stanowią nieużytki.

Występujące na tym terenie drzewostany są głównie liściaste. Tworzą one zwarte stanowiska, zagajniki, kępki i rosną jako pojedyncze drzewa. Stopień wilgotności i jakość gleb decyduje o gatunkach. W pobliżu nurtu rzeki i starorzecza rosną wierzby, topole, olchy, brzozy. Dalej, przed lub za wałami spotykamy także dęby, jesiony, klony, wiązy, akacje itp. Wszędzie rosną różne gatunki drzewiastych krzewów.

Świat zwierząt niczym nie różni się od innych terenów nadrzecznych, m.in. spotykamy tu ponad 100 gatunków ptaków. Siedziby ludzkie znajdują się tylko na skraju doliny. Do Odry, między Uradem a Krosnem Odrzańskim wpadają rzeki; jako prawe dopływy – Biela (Białka) i Pliszka oraz lewe – Bóbr, Łomianka i Nysa Łużycka.

Odra, druga co do wielkości rzeka w Polsce, wypływa w Czeskich Górach Oderskich w Sudetach na wysokości 634 m n.p.m. i uchodzi do Zalewu Szczecińskiego, a dalej do Bałtyku. Jej długość osiąga 854 km, w granicach Polski – 742 km. Początkowo ma charakter rzeki górskiej, po minięciu Bramy Morawskiej zmniejsza spadek. W czasie regulacji (od Koźla do Brzegu Dolnego) Odra została skanalizowana. Na odcinku 186 km wybudowano 23 stopnie wodne (różnica poziomu wody wynosi 64 m). Odra, na odcinku 160 km jest rzeką graniczną między Polską i Niemcami. Stanowi najlepszą w Polsce drogę wodną. Największym problemem żeglugi są w okresach braku opadów niskie stany wody i malejące zapotrzebowanie na tego rodzaju transport. Wiele lat zaniedbań w zakresie ochrony środowiska sprawiło, że korytem rzeki płynie woda pozaklasowa. W ostatnich latach większa dbałość o naturalne środowisko doprowadziła do zmniejszenia zanieczyszczeń i należy mieć nadzieję na dalszą poprawę. Mimo znacznych jeszcze zanieczyszczeń obserwuje się stopniowe zwiększanie różnych gatunków ryb.

Przed 1945 r. łęgi wykorzystywane były jako miejsce intensywnej hodowli bydła. Po wojnie nastąpił zanik hodowli. Dopiero po utworzeniu Państwowych Gospodarstw Rolnych i Spółdzielni Rolniczych nastąpiło znaczne ożywienie tego rodzaju działalności. Po likwidacji w 1990 r. Państwowych Gospodarstw Rolnych i rozwiązaniu części Spółdzielni Rolniczych łęgi ponownie opustoszały. Nastąpiła powolna degradacja pastwisk łęgowych, nie wypasa się, nie kosi, jak również nie stosuje się żadnych zabiegów i nawożenia. Część łęgów przekształca się w zbiorowiska leśne. Obecnie zauważa się jednak większe zainteresowanie miejscowej ludności łęgami i wypasem na nich bydła.

Dolina Odry jest atrakcyjna krajobrazowo i nieporównywalna, jeżeli chodzi o walory przyrodnicze.

Po prawej stronie omawianej doliny znajdują się wzniesienia Wysoczyzny Lubuskiej, o wyraźnym układzie tarasowym, stromo opadające w kierunku rzeki. W VII w. istniał na lewym brzegu Odry przy ujściu Bobru obronny gród słowiański Dziadoszan, nazywany Krosnem. Później rozbudowa objęła prawą część – na niższych, a następnie na wyższych tarasach (różnice poziomów dochodzą do 45 m). Gród był ważnym punktem strategicznym zabezpieczającym granice Śląska. Krosno odegrało ważną rolę w czasie wojen toczonych przez pierwszych władców Polski: Mieszka I i Bolesława Chrobrego, ze względu na położenie u przeprawy przez Odrę. Po śmierci Bolesława Krzywoustego w 1138 r. Krosno wraz z całym Śląskiem przeszło pod panowanie jego najstarszego syna Władysława, zwanego Wygnańcem. Od 1201 r. Kasztelanię Krosnieńską (ustanowił ją pod koniec XII w. Bolesław Wysoki) objął Henryk Brodaty. Książę ten wraz z żoną Jadwigą, późniejszą świętą, patronką Śląska położył szczególnie duże zasługi dla rozwoju tej miejscowości. Rozbudował zamek obronny, ustanowił komorę celną, wzniósł most na Odrze i nadał Krosnu prawa miejskie. Złoty okres Krosna skończył się wraz ze śmiercią Henryka Brodatego, który zmarł 19 marca 1238 r. na zamku krośnieńskim. W 1241 r. w czasie najazdu Tatarów na Śląsk księżna Jadwiga schroniła się właśnie tutaj wraz z mniszkami z klasztoru w Trzebnicy. Wojskami polskimi pod Legnicą dowodził syn Henryka Brodatego i Jadwigi – Henryk Pobożny. W okresie rozbicia dzielnicowego Ziemia Krośnieńska należała do Księstwa Głogowskiego, a od 1482 r. cała kasztelania przeszła na drodze zapisu na rzecz Brandenburgii. Ludność słowiańska w mieście i okolicy utrzymała się do końca XVIII w.

Trzeba jeszcze wspomnieć o:

• opanowaniu miasta w 1631 r. i 1641 r. przez wojska szwedzkie,

• przemarszu przez Krosno i okolice w 1759 r. w okresie wojny siedmioletniej ponad 70 tysięcznej armii Rosji i Austrii i pobycie w mieście aż do 1763 r. oddziałów rosyjskich,

• opanowaniu miasta przez armię napoleońską i pobycie wojsk aż do 1812 r.

W 1945 r. Krosno i okolice powróciły do Polski. 2 maja powołano polską administrację.

Z zabytków pozostały ruiny zamku piastowskiego z XII-XIII w. zniszczonego w 1945 r., fragmenty murów obronnych z XIII w. i kościół farny z XIV w., przebudowany w XVIII w. Miasto liczy obecnie 13 254 mieszkańców.

Dalej, aż do Połęcka, przez 15 km skraj doliny stanowią wzniesienia Wysoczyzny, faliste, pocięte licznymi zagłębieniami. Brzegi stromo opadają ku łęgom, tworząc wysokie – od 40 do 10 m urwiska. Wzniesienia pokrywają przeważnie młode lasy sosnowe z nielicznymi drzewami liściastymi. Na tym odcinku następuje wyraźne zwężenie doliny. Między rzeką a skrajem odległość wynosi od 30 do 400 m. Łęgi w tym miejscu zawierają liczne starorzecza. Na tym odcinku znajdują się tylko dwie miejscowości obok Krosna Odrzańskiego: Marcinowice (385 mieszkańców) i Osiecznica (970 mieszkańców), wzmiankowana w 1202 r. We wsi znajduje się kilka obiektów zabytkowych takich jak: kościół jednonawowy zbudowany w 1816 r., szachulcowy o konstrukcji drewnianej, dwór z XIX w., murowany trzykondygnacyjny oraz pałacyk także z XIX w., neoklasycystyczny, piętrowy, murowany. Przy pałacu znajduje się park krajobrazowy połączony z kompleksem leśnym. Koło Osiecznicy uchodzi do Odry potok Biela (Białka), liczący 55 km, który wypływa spod Budachowa. Wieś Połęcko (395 mieszkańców) położona na wyższym tarasie doliny, wzmiankowana w 1277 r. jako Polenczko, wchodziła w skład klucza ziemskiego Cystersów z Lubiąża. Jeszcze w XX w. były tu widoczne ślady wczesnośredniowiecznego grodziska, zniszczonego przy okazji prac ziemnych.

Poza bogatą historią Połęcko znane jest również jako:

• stała przeprawa promowa przez Odrę dla pojazdów i pieszych, czynna codziennie od godz. 8^{00} do 20^{00},

• miejsce wydobycia ropy naftowej z odwiertu o wydajności 5 ton na dobę (w latach 1960-1980 wydobywano ropę z szybów w Rybakach i w Połęcku do 100 ton na dobę, złoża zostały jednak znacznie wyczerpane),

• stacja pomiaru wody (wodostan w Połęcku jest podawany codziennie za pośrednictwem Radia Polskiego).

Od Połęcka, Rybaków (474 mieszkańców) po Miłów (165 mieszkańców) przez 5 km ciągną się wzniesienia o dużych różnicach poziomów (do 40 m), stromo opadające ku Odrze, zwane Odrzańskimi Tarasami. Tarasy pokryte są przeważnie lasem liściastym z dużą ilością obiektów pomnikowych jak: dęby, buki, klony, akacje, itp. W Rybakach godny obejrzenia jest kościół z 1677 r. o konstrukcji szachulcowej, jednonawowy z wnętrzem barokowym. Od Miłowa dolina rozszerza się do 3 km aż po Białą Górę koło Gąsiorowa. Teren rozszerzenia wykorzystywany jest na uprawy rolnicze. Skraj zabezpieczają Odrzańskie Turnie, niższe w kształcie łuku. Od rozszerzania się doliny zabezpieczają ją wały przeciwpowodziowe, zbudowane blisko koryta rzeki. Na tym terenie i w pobliżu oraz na lewej stronie Odry został Rozporządzeniem Nr 12 Wojewody Zielonogórskiego z dnia 10 lipca 1998 r. utworzony Krzesiński Park Krajobrazowy. Park obejmuje obszar o powierzchni 8546 ha. W jego skład wchodzą:

1) grunty leśne – 3547 ha (41,5% powierzchni),
2) grunty orne – 1486 ha (17,4%),
3) użytki zielone – 2906 ha (34,0%),
4) wody powierzchniowe – 571 ha (6,7%),
5) tereny zainwestowane – 36 ha (0,4%).

W granicach parku znajdują się dwie miejscowości: Kłopot (160 mieszkańców) i Krzesin (82 mieszkańców), pozostałe zaś tylko z nim graniczą.

Park obejmuje teren doliny Odry i Nysy Łużyckiej między miejscowościami: Kłopot, Rąpice, Krzesin, Bytomiec, Miłów, Rybaki, Połęcko, Chlebowo, Żytowań, Kosarzyn. Obszar parku charakteryzuje się dużymi wartościami krajobrazowymi i przyrodniczymi. Żyją tu zanikające, rzadko spotykane rośliny i zwierzęta podmokłych łąk.

W parku po prawej stronie rzeki, między wzniesieniami koło Miłowa a Babią Górą, rozciąga się unikatowy, niepowtarzalny teren łęgów, przeznaczony do zalania jako naturalny zbiornik w razie wyższych stanów wody Odry. Wał przeciwpowodziowy posiada na długości 50 m specjalne obniżenie, umożliwiające przypływ wody. Obszar ten (o powierzchni około 15 km^2) nie był wykorzystywany co najmniej przez 60 lat do celów hodowlano-rolniczych. Jest podmokły, bagnisty, z licznymi oczkami, porośnięty różnymi drzewami, krzewami i niższymi roślinami. Przy wale od strony łęgów i koryta rzeki rosną w zwartych siedliskach lub pojedynczo, drzewa liściaste, np.: wierzby, topole, dęby, olsze, brzozy, lipy i inne oraz różne krzewy. Wiek niektórych drzew dochodzi do 150-200 lat. Powódź w lipcu 1997 r. dotknęła i ten teren. Na drzewach na wysokości od jednego metra do półtora widoczne są obwódki po wodzie. Część drzew i mniejszych roślin niestety usycha. Wał w tych miejscach nie uczęszczany porasta różna roślinność, jak np. wrotycz, malina, wierzba bagienna, jeżyna, wrzosiec bagienny, orient, wierzchlina łąkowa, wyczyniec łąkowy, akacja, tatarak, trzcina. Na łęgach znajduje się ciek – Kanał Krzesiński – odwadniający fragment doliny Odry i Jezioro Krzesińskie (Nisko) o wydłużonym kształcie, powierzchni 15 ha i średniej głębokości 1,5 m. Od Białej Góry (40,6 m n.p.m.) po Kłopot (5 km) dolinę chroni wał przeciwpowodziowy oddalony od koryta rzeki od 500 do 1000 m. Z Białej Góry roztaczają się rozległe widoki na Odrę i stronę niemiecką. Łęgi przed wałem nie uległy degradacji, gdyż również obecnie wykorzystywane są przez okolicznych mieszkańców do wypasu bydła. Natomiast łęgi za wałem zarośnięte są drzewami i różną roślinnością, a część używana poprzednio do celów rolniczych jest nieużytkiem.

Na Odrze, 1,5 km od wsi Kłopot znajduje się uszkodzony od 1945 r. most do Fürsten Berg po stronie niemieckiej. Kłopot stanowi dużą atrakcję tury-

styczną. Jest tu jedno z największych w Polsce i Europie siedlisk bociana białego. Niektóre gospodarstwa we wsi mają po dwa, a nawet trzy gniazda. W najbliższym czasie powstanie tu muzeum poświęcone bocianom białym. Od Rępic i Kłopotu dolina rozszerza się do 3-4 km i zwęża dopiero po 15 km koło Uradu. Tereny między wałem Odry a miejscowościami na obrzeżach: Uradem (444 mieszkańców), Bieganowem (691 mieszkańców), Grzmiącą (409 mieszkańców), Mielesznicą (31 mieszkańców) i Kłopotem są łęgami wykorzystywanymi zgodnie z ich naturalnymi warunkami. Działa tutaj i poza doliną Pekpol Central Soya Bieganów spółka z o.o. z siedzibą w Bieganowie, która gospodarzy na około 3000 ha gruntów i prowadzi następującą działalność:

– produkcję pasz i koncentratów paszowych,
– chów trzody chlewnej w ilości 2 tys. sztuk,
– chów bydła mięsnego i mlecznego w ilości 1,5 tys. sztuk,
– uprawę ziemi.

Spółka w Bieganowie należy do czołowych tego rodzaju gospodarstw w kraju. Doliną płyną dwa cieki, potoki: Młynówka (22 km) i Kanał Luboński (19 km), które odwadniają teren, odprowadzając wody do Odry. Wzdłuż Odry ciągnie się wał przeciwpowodziowy do Uradu. Pomiędzy korytem rzeki a wałem znajdują się niewykorzystane łęgi, porastające różnymi roślinami, najczęściej krzaczastymi. Tu również walczono z żywiołem wodnym w 1997 r., o czym świadczą podwyższone wały i pozostawione worki z piaskiem. Obok Uradu do Odry wpada rzeka Pliszka, długości 65,7 km, która wypływa z jeziora Malcz. Po lewej stronie doliny do Odry wpływa Bóbr. Źródła znajdują się w czeskich Sudetach na stoku Grzbietu Lasockiego i po przepłynięciu 271,6 km rzeka wpada do Odry. Przy ujściu Bobru powstał pierwszy gród, który dał później początek krośnieńskiemu ośrodkowi miejskiemu.

Od Krosna Odrzańskiego do przeprawy promowej w Połęcku (16 km) dolina się rozszerza do 2-3 km, cały teren pokryty jest licznymi małymi ciekami, tworząc typowy obszar podmokłych łąk łęgowych. Łęgi wykorzystywane są na uprawy rolno-ogrodnicze, pastwiska, nieduża część stanowi nieużytki. Na obrzeżach znajdują się wsie: Strumienno (187 mieszkańców), Retno (159 mieszkańców), Sarbia (149 mieszkańców), Czarnowo (465 mieszkańców), Wężyska (863 mieszkańców). W Czarnowie i Wężyskach znajdują się kościoły z XIX w. z wysokimi wieżami, widocznymi nawet z prawej strony doliny. Rzekę od łęgów oddziela wał przeciwpowodziowy, oddalony od 100 do 700 m od koryta. Pomiędzy wałem a rzeką są łąki porośnięte trawą, liczne starorzecza (o różnych kształtach i wielkościach), rosną też wierzby, topole, dęby oraz (coraz częściej) różne krzewy.

Za linią wysokiego napięcia, zawieszoną nad Odrą, także od strony łęgów, rośnie zwarty las liściasty (szerokości do 400 m), a w nim dęby, buki, brzozy, wierzby, topole i dalej od wału sosny. Tu również, na odcinku od ujścia Bobru do przeprawy w Połęcku, w lipcu 1997 r., trwała walka z żywiołem wody, zakończona sukcesem. Udało się niedopuścić do przelania wody przez wały. Jednak długie zaleganie wody między korytem a wałem doprowadziło do uschnięcia wielu drzew. Wał ciągnie się dalej (12 km) od przeprawy promowej do ujścia Nysy Łużyckiej do Odry. Podobnie jak na poprzednim odcinku, obok wału są starorzecza i rosną pojedynczo lub w zwartych niedużych siedliskach drzewa. Na skraju doliny szerokości od 200 do 1500 m zlokalizowane są wsie: Chlebowo (562 mieszkańców), Łomy (165 mieszkańców) i Kosarzyn (82 mieszkańców).

Na uwagę zasługuje wieś Chlebowo, zwana pierwotnie Niemaszchleba, która w źródłach pojawia się w 1305 r. Do XVII w. stanowiła silny ośrodek słowiański. Po wojnie nadal używano nazwy Niemaszchleba, ale z inicjatywy mieszkańców zmieniono ją na Chlebowo. We wsi jest kościół gotycki, zbudowany w XIII w., wielokrotnie przebudowywany. Murowany z kamienia i cegły. Cała dolina i obszar poza nią, sięgający po Drzeńsk Wielki i Żytowań, należy do Krzesińskiego Parku Krajobrazowego. Dolina do niedawna wykorzystywana była jako łąki łęgowe do pozyskania pasz i hodowli bydła. Obecnie tylko w nieznacznej części służy tym celom. Bliżej wsi są uprawy rolnicze, ale większość łęgów niestety ulega degradacji. Doliną, równolegle do Odry, płynie rzeka Łomianka, o długości 28 km, która wypływa spod Nowego Raduszcza i uchodzi do Odry koło Kosarzyna. Między Chlebowem a Kosarzynem istnieją otoczone lasami trzy jeziora: Bagniste (o powierz. 2,4 ha), Głębno (o powierzchni 8,5 ha i głębokości 4,5 m) i Borek (o pow. 63,7 ha, gł. do 8 m, dł. 1560 m i szer. 630 m).

Obok Kosarzyna znajduje się:

• ujście do Odry Nysy Łużyckiej. Źródła jej leżą w Górach Izerskich na terenie Czech. Długość rzeki wynosi 251,8 km, w tym 197,6 km na obszarze Polski i 112 km na terenie b. woj. zielonogórskiego;

• rzadko spotykane na Odrze zakole w kształcie podkowy. Środek z podmokłymi łąkami nosi nazwę Szydłowickie Okopy. Nazwa związana jest ze zdarzeniem, jakie miało miejsce 6 kwietnia 1629 r. podczas lokalnej wojny handlowej między Gubinem a Krosnem. W tym dniu doszło do napadu statków gubińskich na statki krośnieńskie oraz walki rzecznej i pieszej;

• przy wale obelisk ku czci żołnierzy Wojsk Ochrony Pogranicza.

Dalej do ujścia po lewej stronie Odry są tereny Niemiec. Brak mostów i przepraw uniemożliwia wzajemne, bezpośrednie kontakty i poznanie terenów.

Dotarcie na omawiany teren publicznymi środkami komunikacji nie jest zbyt dogodne i nie zawsze umożliwia powrót w tym samym dniu.

Z Zielonej Góry można dojechać:

1) koleją w kierunku Gubina przez Czerwieńsk do Krosna Odrzańskiego, Wężysk, Wałowic i dalej PKS-em do Chlebowa, Łomów, Kosarzyna i następnie można dojść piechotą do Odry. Pociągi odjeżdżają rano i po południu, wracają po południu i wieczorem.

2) PKS-em do Krosna Odrzańskiego i dalej przez Osiecznicę lub Korczyców do Maszewa, Połęcka, Rybaków, Milowa, Bytomca, Rąpic, Kłopotu, Grzmiącej, Cybinki, Uradu, a następnie dojść do Odry. Połączenia w dni pracy są dość dogodne, natomiast w dni wolne od pracy wiele kursów jest zawieszonych.

Z Gubina można dojechać:

1) koleją w kierunku Zielonej Góry do Wałowic, Wężysk, Krosna Odrzańskiego i dalej PKS-em do Chlebowa, Łomów, Kosarzyna lub dojść piechotą do Odry. Połączenia dogodne.

2) PKS-em do Kosarzyna, Łomów, Chlebowa i dojść do Odry. Połączenia dość częste.

Z Lubska, Żar, Żagania można dojechać i wrócić PKS-em do Krosna Odrzańskiego, ale tylko w dni robocze.

Dojazd zmotoryzowanych i kolarzy nie jest trudny, gdyż istnieją liczne drogi asfaltowe, m.in. kursują po nich PKS-y.

W dolinie nie ma wyznaczonych szlaków turystycznych. Za szlaki mogą służyć wały przeciwpowodziowe. Można wędrować wałami, ścieżkami i drogami przez łęgi oraz po obrzeżach. Niektóre odcinki wałów są zarośnięte krzewami i różną roślinnością, co utrudnia przejście, m.in. po prawej stronie na wysokości wsi Krzesin, koło Jeziora Krzesińskiego (zniszczona kładka), od mostu obok Kłopotu do Uradu.

Odra na całym omawianym odcinku dostępna jest dla turystyki kajakowej. Urok i malowniczość krajobrazów zachwyca na całej trasie. Spływ odcinkiem granicznym wymaga zgody Straży Granicznej.

W każdej wsi znajdują się sklepy, gdzie można kupić podstawowe artykuły spożywcze, a w Krośnie Odrzańskim, Osiecznicy, Kosarzynie – restauracje i bary gastronomiczne.

Dolina Odry, jej przyroda i krajobrazy stwarzają unikatowe walory turystyczne i rekreacyjne.

Jerzy Łatwiński

„PROWOKACYJNE EKSCESY"

o Dom Katolicki w Zielonej Górze z 30 maja 1960 roku

Poprawne stosunki jakie zapanowały po październiku 1956 roku pomiędzy państwem a Kościołem katolickim szybko uległy pogorszeniu. 8 lipca 1958 roku kolegium Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zatwierdziło „Wytyczne o zwalczaniu wrogiej działalności kleru i aktywu katolickiego". Natomiast w październiku 1958 roku na odprawie krajowej SB dyrektor Urzędu do Spraw Wyznań J. Sztachelski zaproponował, aby władze rozwinęły „własną ofensywę", która miała położyć „tamę ofensywie kleru". Z kolei wiceminister M. Moczar nawoływał do walki z Kościołem katolickim, bowiem według niego „walka ta trwa już od chwili (...) wzięcia władzy przez komunistów w Polsce". Stwierdził on również, że „walka ta nie toczy się na jakimś bocznym torze. Jest to walka na torze centralnym. Wyniki tej walki ekonomiczne i polityczne zadecydują o tym, czy ciemnogród (to jest Kościół katolicki) może liczyć na szersze powodzenie swych wstecznych myśli, czy nie". W podobnym tonie wypowiedzieli się inni uczestnicy tej odprawy.

Działania wymierzone przeciwko Kościołowi katolic-

kiemu, podjęte przez funkcjonariuszy SB przybrały na sile, kiedy to I Sekretarz Władysław Gomułka na zjeździe PZPR w marcu 1959 roku przestrzegł w swoim przemówieniu „hierarchię kościelną (...) przed naruszaniem prawa i zarządzeń państwowych". Radził on, aby duchowieństwo zaniechało „prowokowania władzy ludowej, bo nie wyjdzie to Kościołowi na pożytek".

Na Ziemiach Zachodnich władze w walce z Kościołem katolickim postanowiły wykorzystać brak jasnych regulacji prawnych Kościoła w PRL. W kwietniu 1959 roku Minister Gospodarki Komunalnej wydał okólnik nr 20, który zawierał nie tylko wcześniejsze postanowienia odbierające prawo Kościołowi katolickiemu do użytkowania nieruchomości poniemieckich, ale zalecał także jak najszybsze zajęcie budynków „pozostających dotychczas w administracji jednostek kościelnych", które nie były obiektami sakralnymi.

Okólnik ministra, a przede wszystkim późniejsze zalecenia Biura Politycznego KC PZPR z 5 stycznia 1960 roku, przyczyniły się prawdopodobnie w dużym stopniu do tego, że zielonogórskie władze wojewódzkie, które w 1959 roku podjęły zamiar przejęcia od parafii Św. Jadwigi Domu Katolickiego przy placu Powstańców Wlkp. 1/2 – teraz – tj. w styczniu 1960 roku przystąpiły do jego realizacji. Początkowo władze próbowały wymusić od ówczesnego proboszcza parafii ks. Kazimierza Michalskiego dobrowolne oddanie zajmowanego budynku. Wobec fiaska niniejszych działań, na początku marca tzw. wojewódzka trójka partyjna (I Sekretarz KW PZPR, Sekretarz KW ds. Propagandy i zastępca Komendanta Wojewódzkiego MO ds. Bezpieczeństwa) podjęła ostateczną decyzję o przeprowadzeniu eksmisji. „Biorąc pod uwagę znajomość sytuacji" władze wojewódzkie i podległe im służby bardzo starannie przygotowały się do przeprowadzenia eksmisji. Przygotowane zostały odpowiednie plany. Powołana została między innymi przez Służbę Bezpieczeństwa KW MO specjalna grupa operacyjna, która miała przeprowadzić doraźną obserwację w mieście, a także grupa funkcjonariuszy wydziału B, których zadanie polegało na robieniu zdjęć fotograficznych tłumu. Wobec skali przygotowań, szef zielonogórskiej SB, a także inni dygnitarze partyjni nie przewidywali, że może dojść do jakiegoś oporu ludności podczas eksmisji.

Działania księdza K. Michalskiego i jego parafian, które poparł biskup Wilhelm Pluta, zmierzające do zachowania przez parafię Św. Jadwigi Domu Katolickiego nie przyniosły pozytywnych rezultatów.

30 maja 1960 roku, tj. w dniu eksmisji, przed wejściem do Domu Katolickiego „zebrało się około 30 kobiet , a na pobliskim placu Powstańców Wielkopolskich zebrał się tłum liczący około 200 osób (...). O godzinie 9.50 na miejsce eksmisji przybyli pracownicy administracji", którzy nie mogli przystąpić do swoich czynności, bowiem nie zostali oni wpuszczeni do budynku przez blokującą wejście grupę kobiet. „O godzinie 10.00 (lub 10.05) dowódca (...) otrzymał rozkaz (...), aby za pomocą podległych mu funkcjonariuszy MO usunąć tłum ludzi z placu Powstańców Wlkp. oraz kobiety sprzed Domu Katolickiego" tak, by mogła wejść do budynku grupa eksmisyjna. Pomimo wykonania rozkazu sytuacja nie została opanowana do końca przez milicję, bowiem z czasem liczba osób zgromadzonych przed Domem Katolickim zaczęła szybko wzrastać. O godz. 11.30 milicjanci ponownie używając pałek oraz granatów łzawiących starali się rozpędzić tłum ludzi, który częściowo się rozproszył, ponieważ część ludzi schroniła się do kościoła Matki Boskiej Częstochowskiej lub w sąsiednich ulicach. Wiele osób zostało dotkliwie pobitych przez funkcjonariuszy, którzy wrzucali pojemniki z gazem nawet do kościoła.

„Około godziny 12.00 (lub po 12.00) tłum zaatakował cegłami i kamieniami funkcjonariuszy MO". Od tego czasu „rozpoczęła się walka, do której włączały się coraz to nowe grupy ludzi". Wówczas kierownictwo KW MO poprosiło o posiłki z Poznania. Eskalacja konfliktu doprowadziła do tego, że po obu stronach pojawili się ciężko ranni. „Osłabione walką grupy funkcjonariuszy (...) bez przerwy obrzucane" przez zdesperowanych ludzi „kamieniami i cegłami zaczęły się wycofywać w kierunku siedziby Komendy Miejskiej MO" przy ul. Kasprowicza. Przez ponad cztery godziny, „tłum ściśle oblegał Komendę Miasta, próbując ją podpalić". W czasie zajść podpalone zostały przez demonstrantów „stojące obok Komendy Miejskiej dwa samochody ciężarowe" – „GAZ –51". Tłum opanował także samochód więźniarkę, którą kilka osób jeździło „po mieście nawołując ludzi do gromadzenia się na placu Powstańców Wlkp. z okrzykami obrony Boga i wiary".

Dramatyczne starcia pomiędzy ludnością i funkcjonariuszami MO miały miejsce także na ulicach Mariackiej, Żeromskiego, Świerczewskiego (obecnie Kupiecka) oraz Lisowskiego.

Po godzinie 14.00 „do walki władze próbowały wprowadzić milicję robotniczą, ale wkrótce ją rozbito i rozpędzono".

„Przewaga tłumu w walce z siłami porządkowymi utrzymywała się do godz. 16.00, wówczas to nadjechały oczekiwane posiłki ZOMO z Żagania, Nowej Soli oraz Poznania. Przeprowadzono wówczas generalny szturm na tłum zgromadzony" przy Komendzie Miejskiej oraz na placu Powstańców Wlkp. W wyniku tego szturmu „po ciężkich walkach (...) zdołano częściowo rozproszyć" demonstrantów, „walki jednak z odosobnionymi grupami trwały jeszcze w różnych częściach miasta do godziny 22.00", a nawet i dłużej.

Liczbę rannych demonstrantów trudno ustalić, ponieważ szereg osób, które brały udział w konflikcie, z obawy przed różnego rodzaju represjami ze strony władz leczyło się w swoich domach. Natomiast większe lub mniejsze rany odniosło 160 lub 172 funkcjonariuszy sił porządkowych.

Obawy ludzi biorących udział w zamieszkach nie były bezpodstawne, bowiem władze rzeczywiście bardzo surowo potraktowały domniemanych i rzeczywistych ich uczestników, np. 26-letni Tadeusz Gołąbek za aktywny udział w niniejszych wydarzeniach, podżeganie „innych do wystąpień przeciw władzy" oraz „ wrogi stosunek do ustroju" został skazany na cztery lata więzienia.

W roli bezpośrednich uczestników „gorszących awantur" w mieście władze pragnęły widzieć „grupy dewotek, rozwydrzonych młokosów i męty społeczne", a nie tych, którzy najliczniej i najczynniej wystąpili przeciw eksmisji tj. robotników. Winą zaś za te zajścia władze obarczyły „określone władze kościelne", a przede wszystkim ks. Michalskiego, który jako ordynariusz diecezji miał „patronować awanturniczym, nieodpowiedzialnym poczynaniom – wymierzonym w spokój, ład i stabilizację życia na Ziemiach Zachodnich". Dlatego też władze wojewódzkie dołożyły wszelkich starań, aby „antyspołeczny" duchowny opuścił Zieloną Górę. Przejęły też sporny budynek.

W wyniku „prowokacyjnych ekscesów" władze podjęły kolejne działania, które przyczyniły się do zaognienia sporu dotyczącego własności kościelnej na Ziemiach Zachodnich. 22 czerwca 1960 roku Minister Rolnictwa wydał okólnik, na mocy którego kościelne grunty rolne na Ziemiach Zachodnich miały od teraz należeć do państwa, a nie do ich użytkownika . W ten oto sposób konflikt na linii państwo – kościół znacznie się rozszerzył, ponieważ nie tylko budynki, ale i kościelne grunty rolne stały się przedmiotem sporu.

10 czerwca 1960 roku odbyła się w Warszawie narada krajowa SB, na której jej uczestnicy ocenili działalność sił porządkowych i funkcjonariuszy SB podczas wydarzeń w Nowej Hucie i Zielonej Górze. Jeden z nich stwierdził: „obie batalie (...) zostały przez nas przegrane. Bowiem huk granatów łzawiących, czy petard rozległ się po całej Europie. Ponieśliśmy wiele strat jeśli chodzi o naszych funkcjonariuszy, a także strat materialnych". Natomiast biorący udział w naradzie dyrektor Urzędu do Spraw Wyznań J. Sztachelski wykluczył w zaistniałej sytuacji możliwość „jakichkolwiek układów, przetargów i innych rozmów" z przedstawicielami hierarchii kościelnej. Zapowiedział on także podjęcie dalszych „ofensywnych posunięć" ze strony władz w stosunku do Kościoła katolickiego.

W niniejszym tekście autor wykorzystał ustalenia Cz. Osękowskiego (*Konflikt o Dom Katolicki w Zielonej Górze w 1960 r.*, „Studia Zielonogórskie" 1995, t. 1, s. 123-139), a także relację szefa zielonogórskiej Służby Bezpieczeństwa, złożoną na odprawie krajowej SB 10 czerwca 1960 r., którą opublikował H. Dominiczak (*Organy bezpieczeństwa w walce z Kościołem katolickim 1944-1990. W świetle dokumentów MSW*, Warszawa 2000).

Daniel Koteluk

Daniel Koteluk – absolwent historii Uniwersytetu Zielonogórskiego, słuchacz studiów doktoranckich w Instytucie Historii UZ.

DAWNE I WSPÓŁCZESNE SYMBOLE SAMORZĄDU ZIELONEJ GÓRY

Zielonogórski samorząd posiada bogate tradycje związane z symbolami reprezentującymi władze miejskie i mieszkańców. W ciągu stuleci ukształtowane zostały zwyczaje związane ze stosowaniem określonych znaków i symboli reprezentujących miasto.

Pieczęcie

Tradycyjnie najstarsze znaki miejskie. Właśnie z wizerunków napieczętnych ukształtowane zostały późniejsze herby miejskie. W ciągu stuleci władze Zielonej Góry posługiwały się ponad 10 różnymi pieczęciami.

Pieczęć posiada wieloznaczeniową symbolikę:

Po pierwsze, zgodnie z najstarszą funkcją, uwierzytelnia dokumenty wydawane przez władze miejskie. Stąd można uznać ją za znak ukształtowanego już samorządu. Kiedy nie było potrzeby wystawiania dokumentów nie było również konieczności sprawiania pieczęci. W momencie pojawienia się jej możemy mówić o ukształtowanym samorządzie i jego władzach, a zatem pieczęć była symbolem władzy samorządowej.

Po drugie, wizerunki umieszczane na pieczęciach związane były ze specyfiką miasta. Nie przypadkowo na większości z nich umieszczane były wizerunki przedstawiające architekturę miejską. Nawet w przypadku miast, które nie posiadały w rzeczywistości murów obronnych, ich wizerunki umieszczane były na pieczęciach. Mury miejskie stanowiły bowiem fizyczną granicę obowiązywania prawa miejskiego. W tym kontekście wizerunki zawarte na pieczęciach Zielonej Góry w pełni odpowiadają (w swojej symbolice) reprezentacji prawa miejskiego. Na wszystkich z wymienionych pieczęci widniały wizerunki murów bądź wież miejskich.

Po trzecie, na pieczęciach oprócz motywów samorządowych przedstawiana była sytuacja własnościowa miasta, najczęściej poprzez umieszczenie wizerunku herbu bądź fragmentu z herbu właściciela. Informacje o założycielach i właścicielach Zielonej Góry zostały zawarte na pieczęciach. Na najstarszej z nich poprzez umieszczenie hełmu i tarczy z orłem, a na następnych jedynie hełmu i półksiężyca. Współcześnie wizerunek orła dolnośląskiego symbolizuje jedynie historię miasta.

Charakterystyka wizerunków napieczętnych

1. Przegląd źródeł sfragistycznych rozpocząć wypada od najstarszej pieczęci miejskiej pochodzącej prawdopodobnie z przełomu XIII i XIV w. Niestety jej oryginał nie dotrwał do naszych czasów, a wizerunek tej pieczęci znany jest jedynie na podstawie późniejszych reprodukcji. Stała się ona wzorem ikonograficznym dla obecnie obowiązującego herbu Zielonej Góry. Wspominają o tej pieczęci już XIX-wieczni

historycy, zaznaczając już wówczas, że oryginał pieczęci nie zachował się.

Jeden z egzemplarzy najstarszej pieczęci był prawdopodobnie przechowywany w archiwum miejskim w Toruniu oraz Wrocławiu. Wizerunek pieczęci przedstawiał dwie wieże i fragment muru obronnego, ponad którym umieszczona była tarcza z orłem śląskim oraz hełm z charakterystycznym orlim skrzydłem.

2. Najstarsza z pieczęci zachowanych również w zbiorach zielonogórskiego archiwum pochodzi z końca XV lub pocz. XVI w. Przedstawia dwie wieże oraz mury obronne z otwartą bramą. Zamiast tarczy z orłem ponad murami umieszczony został sam hełm kubłowy, a ponad nim półksiężyc. Właśnie wizerunek tej pieczęci stał się wzorem późniejszego herbu miasta używanego przez kilkaset lat aż do 1960 r. Wszystkie pieczęcie Zielonej Góry wykonane w następnych stuleciach przedstawiały podobny wizerunek. Wspomniana XV-wieczna pieczęć odciśnięta była w wosku zielonej barwy, której używano wymiennie z czarną.

Barwa czerwona wosku w tym okresie zastrzeżona była dla miast, które uzyskały na jej używanie zgodę panującego. Kolejne pieczęcie miejskie z 1636, 1646, 1746 roku odciskane były prawie wyłącznie w laku czerwonym bądź czarnym. Zdarzały się również pieczęcie tzw. papierowo-woskowe odciskane na papierze przyłożonym do wosku.

Z wyjątkiem jednej pieczęci owalnej z 1746 r. wszystkie pozostałe były okrągłe. Przez pewien czas, co widoczne jest na niektórych dokumentach miejskich, dawne tłoki pieczętne przystosowane do wosku używane były do odciskania w tuszu dając w ten sposób „negatywowy" wizerunek.

3. **Pieczęcie nowożytne z XVII-XIX** w. przedstawiały wizerunek opisany wcześniej, przy czym modyfikacji i stylizacji uległ półksiężyc. Poczynając od poł. XVIII w. w bramie miejskiej umieszczony został skos symbolizujący (według niemieckich historyków) wprowadzenie akcyzy przez Fryderyka II.

4. **Pieczęcie po II wojnie**. Bezpośrednio po wojnie władze Zielonej Góry posługiwały się pieczęciami z wizerunkiem dawnego herbu. Po 1950 r. i wprowadzeniu terenowych organów władzy państwowej na pieczęciach miejskich wprowadzono wizerunek orła polskiego. Dopiero po 1990 r. ponownie na pieczęci prezydenta Zielonej Góry pojawił się herb miasta.

Herb miejski

Na wstępie zaznaczyć należy, że nie zachowały się żadne dokumenty, które może także nigdy nie zostały wystawione, wskazujące na ustanowienie herbu Zielonej Góry.

W odróżnieniu od pieczęci użycie herbu nie wiązało się z żadną czynnością prawną, było jedynie symbolicznym podkreśleniem władzy samorządowej.

Herb Zielonej Góry bez wątpienia powstał z wizerunku napieczętnego. Przypuszcza się, że stało się to relatywnie późno, prawdopodobnie ok. XV/XVI w. Barwy herbu nigdy nie zostały oficjalnie ustalone, dopiero współcześnie znalazły się w statucie miasta.

Powojenne dzieje zielonogórskiego herbu biorą swój początek już w latach czterdziestych. Był to czas, gdy w większości herbów miejskich na Ziemiach Zachodnich i Północnych usuwano „niepewne" wizerunki czarnych i czerwonych orłów, wprowadzając w ich miejsca niemal automatycznie orła białego. W odróżnieniu od innych miast, gdzie zmian takich dokonano w sposób arbitralny bez konsultacji z władzami miejskimi, w Zielonej Górze na sesji Rady Miejskiej 28 listopada 1947 r. postanowiono zmienić dotychczasowy herb. Po ożywionej dyskusji Rada jednogłośnie uchwaliła, iż z herbu usunięty zostanie półksiężyc i hełm, a w to miejsce umieszczony będzie piastowski orzeł.

Po raz kolejny radni dyskutowali o herbie na przełomie 1959/60 r. sprowokowani niejako przez zielonogórskiego historyka Władysława Korcza, który apelował o zmianę dotychczasowego herbu z orłem białym przyjętego przede wszystkim z „patriotycznej chęci zerwania z pruską wersją". W. Korcz zaproponował wizerunek godła obowiązujący do dziś, a więc z orłem śląskim. Po pozytywnym zaopiniowaniu projektu przez profesora Mariana Haisiga przyjęto uchwałę zmieniającą herb.

1688

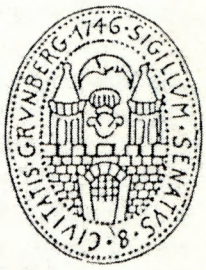

1746

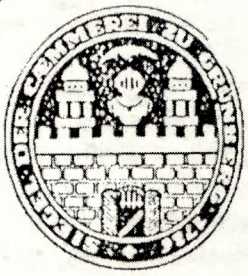
1786

Najnowsze dzieje herbu związane są z „Ustawą o samorządzie terytorialnym", zgodnie z którą każda gmina miejska, a także wiejska powinna posiadać swój herb. W 1991 r. po raz trzeci w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat zielonogórscy radni dyskutowali o godle miasta. Po krótkiej dyskusji i wysłuchaniu uwag zaproszonych historyków, radni przyjęli bez większych zmian wizerunek herbu ustalony w 1960 r.

Weksylia miejskie

Wśród opisywanych symboli samorządu miejskiego największe trudności badawcze sprawiają poszukiwania weksyliów czyli dawnych chorągwi i flag miejskich. W przedwojennej Zielonej Górze posługiwano się flagą o barwach biało-zielonych i śląskich biało-żółtych. Dopiero po II wojnie światowej oficjalnie uchwalono barwy i flagę miasta żółto-biało-zieloną.

W przypadku miast geneza weksyliów miejskich związana była z kształtowaniem się oddziałów miejskich, które ruszały do boju w barwach miasta. Na płacie barwnej tkaniny umieszczano wówczas herb miasta, a zatem były to chorągwie, natomiast flagi w dzisiejszym znaczeniu – o barwach pochodzących z herbu – ukształtowały się dopiero w XVIII wieku i rozpowszechniły w XIX.

Współczesne samorządy posługują się przede wszystkim flagami, a jedynie w nielicznych przypadkach chorągwiami.

Wojciech Strzyżewski